



HUSARIA TRADYCJI

CZERWIEC / LIPIEC 2009 (3)

W numerze:

ZAMIAST WSTĘPU

Hallmann: Oglądając zdjęcia z Łotwy (2)

POCZET BOHATERÓW

Sąsiadowicz: Jan Gomola (3)

Gorecki: Duma o Zakrzewskim (4)

WYPISY

Jasienica: Polska Piastów (6)

Jünger: Tradycja (8)

Jan Paweł II: Pamięć i tożsamość (11)

Mazanowski: Zepsucie dzisiejszej młodzieży gimnazjalnej... (15)

Jankowski: Wspólna przeszłość (28)

Drzewucki: Człowiek niezłomny, ostatni romantyk, poeta poetów (39)

Herbert: Duszycka (45)

Herbert: Dom (50)

POEZJA

Herbert: Pan Cogito o cnocie (52)

Herbert: Przemiany Liwiusza (53)

Herbert: Cesarz (54)

Herbert: Krasnoludki (54)

*powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz*
Zbigniew Herbert

Zamówiłem sobie ostatnio dwie książki dwóch łotewskich powieściopisarzy – Lacisa i Upitsa. Obie wydane w Polsce w 1950. Twarde solidne oprawy, kartki szyte – nie sklejane. I niestety wydaje mi się, że są to jedyne polskie wydania. Współczesnych tłumaczeń literatury łotewskiej próżno szukać. Pustynia.

Nie o tym jednak chciałem pisać...

Kilka dni temu przeglądałem zdjęcia z mojego lipcowego pobytu na Łotwie w 2007 roku. Wiele zmienił on w moim życiu. Przede wszystkim poskutkowało zdecydowanym zwróceniem się w stronę Tradycji Katolickiej i pogłębieniu niechęci do protestantyzacji Kościoła. Do kraju wracałem z postanowieniem jeszcze większego utwierdzenia Kontrewolucji. Był to 1 sierpnia. Dzień – symbol. Toteż miał jechać od razu do Tarnowa zatrzymałem się w Warszawie. Poszedłem do Muzeum Powstania. Tłumy. Utworzyła się kolejka, której długość zniechęciła mnie by w niej stanąć. Zrobiłem jej jednak zdjęcie.

Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy oglądając teraz to zdjęcie dostrzegłem znajomych harcerzy - ludzi z rzeszowskiego oddziału TMA. Stoją blisko, zaledwie na kilka kroków. O czymś rozmawiają... Quelle d'histoire! Przecież byli mi wtedy zupełnie obcy. Któż mógł przypuszczać, że ci sami ludzie dziewięć miesięcy później będą w Tarnowie przy narodzinach Towarzystwa Michała Archanioła?

Cóż, chyba będę musiał dokładnie przejrzeć resztę swoich zdjęć...

D.H.

PS. Husaria Tradycji powoli nabiera określonych kształtów i nic nie wskazuje, aby obecna formuła (dwumiesięcznik z wypisami) uległa zmianie. W tym numerze szczególnie polecam artykuł „Wspólna przeszłość” o stosunkach polsko-litewskich. Warto go przeczytać, tym bardziej, że 1 lipca przypada 440 rocznica podpisania aktu Unii Lubelskiej. Polecam także pracę Mazanowskiego o zepsuciu młodzieży gimnazjalnej napisaną niemal 100 lat temu. Ciekawy materiał do konfrontacji z dzisiejszą sytuacją. Nikomu natomiast chyba nie muszę polecać Mistrza Herberta, którego w tym numerze jest dość sporo. 28 lipca przypada 11 rocznica jego śmierci. Cześć Jego Pamięci!

PS II. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że Mazanowski jest ów *łacinnikiem w randze radcy dworu*, o którym wspomina Herbert w „Przemianach Liwiusza”

Maria Sąsiadowicz Jan Gomoła

Jan Gomoła urodził się 2 maja 1913 r. w Duisburgu w Niemczech, dokąd jego rodzice Ludwik i Jadwiga przybyli z Wielkopolski w poszukiwaniu pracy. W wielu 7 lat Jan z rodzicami przyjechał do Polski, najpierw do Jarocina, a następnie do Poznania. Pierwszą pracę podjął w poznańskiej Drukarni Polskiej. Służbę wojskową odbywał początkowo w 66. Pułku Piechoty, a następnie w Korpusie Ochrony Pogranicza w Czortkowie, gdzie z wyróżnieniem ukończył szkołę podoficerską. Po powrocie z wojska prowadził w Inowrocławiu agencję gazet, tutaj też 24 sierpnia 1939 r. został zmobilizowany do 59. Pułku Piechoty, wchodzącego w skład 15. Dywizji Piechoty Armii "Pomorze".

Jako dowódca drużyny Jan Gomoła w czasie kampanii wrześniowej brał udział w walkach pod Bydgoszczą, Gniewkowem, Brześciem Kujawskim, Kowalem, Gąbinem, Gostyninem, Iłowem, w bitwie nad Bzurą, w Puszczy Kampinoskiej oraz w obronie Warszawy. Po kapitulacji stolicy do 15 października 1939 r. przebywał w niewoli w obozie jenieckim w Skierniewicach, skąd udało mu się wydostać i wrócić do Poznania. W połowie listopada 1939 r. wstąpił w Poznaniu do konspiracyjnej Narodowej Organizacji Wojskowej, pełnił funkcję kierownika organizacyjnego w mieście, a następnie w niektórych powiatach województwa poznańskiego. W lutym 1940 r. Niemcy wysiedlili Jana Gomołę z Wielkopolski do Krakowa, gdzie pracując zawodowo w handlu równocześnie działał w NOW, a po reorganizacji w lutym 1942 r. w Armii Krajowej. W 1943 r. zorganizował i ukończył kurs podchorążych AK, a następnie przystąpił do organizowania oddziału partyzanckiego. Śledzony przez Niemców w Krakowie wyjechał wraz z grupą żołnierzy AK w okolice Radłowa k/ Tarnowa. Tutaj połączyli się z grupą miejscowych partyzantów i w maju 1944 r. stworzyli oddział partyzancki AK "Janina", którego dowódcą został ppor. Jan Gomoła pseudonim "Jawor". Oddział ten, początkowo liczący 30 osób a w późniejszym okresie prawie 100 żołnierzy, prezentował najwyższą siłę bojową, dlatego powierzano mu najtrudniejsze zadania.

W nocy z 25/26 lipca 1944 r. oddział partyzancki "Janina" brał udział w słynnej akcji "Trzeci Most", stanowiąc ochronę lotniska "Motyl" w Jadownikach Mokrych. AK wysłała do Brindisi we Włoszech dane konstrukcyjne i niektóre części rakiety V-2 oraz kurierów dyplomatycznych. W sierpniu 1944 r. oddział "Janina" wszedł w skład Batalionu "Barbara" 16. pp AK Ziemi Tarnowskiej dowodzonego przez kapitana Eugeniusza Borowskiego pseudonim "Leliwa". Kompania "Janina" dowodzona przez "Jawora" awansowanego do stopnia porucznika, brała udział w licznych walkach batalionu "Barbara". Najbardziej jednak zasłużyła się dnia 25 września 1944 r. w bitwie pod Jamną, gdzie odwaga dowódcy "Jawora" i jego żołnierzy pozwoliła na utrzymanie linii obrony. Za tę walkę porucznik Jan Gomoła, w listopadzie 1944 r., został przez komendanta AK w Krakowie odznaczony Krzyżem Walecznych.

W grudniu 1946 r. Jan Gomoła za przynależność do AK został aresztowany w Poznaniu. Wypuszczony w 1947 pod stałą "opieką" UB podjął pracę w Krakowie, później w Zakopanem i Nowym Targu. Ponownie został aresztowany 9 czerwca 1953 r. w Jarocinie i do 1955 r. był więziony w Krakowie, Wiśniczu, Brzezinach Śląskich. Po zwolnieniu z więzienia zamieszkał w Tarnowie, gdzie podjął pracę w handlu. Do emerytury zatrudniony był w tarnowskiej PSS "Społem".

W latach 70-tych i 80-tych Jan Gomoła czynnie działał w Związku Inwalidów Wojennych, z jego inicjatywy w 1981 r. powstało przy NSZZ "Solidarność" Koło Kombatantów. 14 kwietnia 1985 r. po mszy św. w Kościele Księży Filipinów w Tarnowie, celebrowanej w intencji polskich oficerów w 45 rocznicę zbrodni katyńskiej, Jan Gomoła wraz z Aliną Szymiczek i Andrzejem Fenrychem (byli żołnierze AK) zostali wylegitymowani przez funkcjonariuszy MO za złożenie kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza i uznani organizatorami nielegalnego zgromadzenia. Podczas trzeciej rozprawy (6.11.1985) Jan Gomoła w trakcie przesłuchania doznał zawału serca i nie odzyskawszy przytomności zmarł 7 listopada 1985 r. Pogrzeb porucznika "Jawora" odbył się na cmentarzu parafialnym w Krzyżu k/Tarnowa 11 listopada 1985 r. i stał się wielką patriotyczną manifestacją społeczeństwa tarnowskiego, mimo iż klepsydry z informacją o ceremonii zostały pozrywane przez "nieznanych sprawców".

Jan Gomoła odznaczony był m.in. Medalem "Za udział w Wojnie Obronnej 1939 r.", Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Walecznych, czterokrotnie Medalem Wojska Polskiego i Krzyżem Armii Krajowej.

Antoni Gorecki
Duma o Zakrzewskim

1827

Nad dalekim Dniepru brzegiem
Szły cicho woyska lskniące się żelazem
Pomiędzy nimi bystrym wiatru biegiem
Leciał z wodza moiego rozkazem

Jak teraz wszystko uległo odmianie!
Koń mój był rzeski, i ja byłem młody.
Słyszę głos silny: "wstrzymaj się młodzianie!
Z tobą Dnieprowey napiem się wody."

Był to Zakrzewski mąż sławny dziełami,
Szlachetność w sercu, surowość miał w oku;
Pod iego pierwey byłem rozkazami,
Nim mnie Mielżyński wziął do swego boku.

Półk iego w każdej wślawiony potrzebie,
Stapał półk trzeci, po zieloney błoni,
A on mię wzywał: "Piemy do ciebie.
Choć nas rzuciłeś towarzyszu broni!"

Wstrzymałem konia, rrze, pieni się, wspina,
A wodz częstuiąc mnie Dnieprową wodą:
"Na twem weselu napiem się wina,
Po woynie żonę wyswatam ci młodą."

- "Ah! wodzu, rzekłem, walecznemi dzieły
Oby z nas każdy doszedł Twoiey chwały."
A w tym z daleka spiże grzmieć poczęły,
I coraz bardziew i bardziew huczały.

"Sciskaycie szyki, dwóycie krok rycerze!"
Krzyknął Zakrzewski; woysko słucha wprawne;
I iuż Skoleńska widać było wieże,
I mchem pokryte baszty starodawne.

Trąciłem konia, leciał iak wiatr chyży;
A na rumaku tak białym iak śniegi,
Tam gdzie naygęstrzy szedł ogień ze spiży,
Zakrzewski swoje prowadził szeregi.

Ostatni raz iuż rycerza widziałem,
Jak nawałnica, szła za nim młodź dzielna
Już przeszli szańce, iuż byli pod wałem,
Gdy wodza kula wstrzymała śmiertelna.

Długo tam długo słyhać strzały było,
Aż noc zakryła krwawe boiowisko;
Nazaiutrz nasi szli, i Dniepru blisko
Uczcili męża mogiłą.-

Tam garstką piasku zakryte,
Zakrzewski zasługi Twoie;
Rany we Włoszech nabyte
W St. Domingo krwawe boie.

Taka zapłata od ludzi,
Spoczyway rycerzu mile,
Anioła trąba Cię zbudzi,
Będziesz Ty iaśniał w tę chwilę.

Kiedy wieczorem dziatwa mię otoczy,
I siądzie przy mnie żona urodziwa;
Zawsze mi obraz Twóy staie przed oczy,
Zdaie się duch Twóy że z nami przebywa.

Tyś mnie dotrzymał słowa i za grobem,
Tyś mnie wyswatał tę żonę nadobną;
Bo iakże mógłbym ia ludzkim sposobem
Znaleść niebiankom istotę podobną.

W tey czarney chwili, pod tą niską strzechą,
Kiedy rozmyślam co iest a co było,
Ona iest moią iedyną pociechą,
Ah! przy niey tylko żyć mi ieszcze miło.

Kalikst Zakrzewski (????-1812) - pułkownik, uczestnik wojen napoleońskich.

Paweł Jasienica Polska Piastów (fragmenty)

Krzywousty nawrócił do tradycji najwybitniejszych przodków. Zawarł przymierze z Kolomanem węgierskim, „wykształconym w książkowej wiedzy ponad wszystkich królów współczesnych”, oraz z Rusią. W roku 1103 ożenił się ze Zbysławą, córką Świętopełka II, księcia Kijowa.

Rozpoczęła się długa seria wypraw wojennych Bolesława Krzywoustego, kierowanych przeważnie na Pomorze. Ponowne przyłączenie tego kraju stanowiło bowiem główny cel jego polityki. Były także uderzenia na Prusy. Energia i ruchliwość tego władcy przekraczają wszelkie wyobrażenie. Potrafił w przeciągu pięciu dni - podczas wojny, krajem moczarowatym i bezdrożnym - przerzucić konną armię spod Głogowa na samo wybrzeże i szóstego dnia uderzyć z nią na Kołobrzeg. Podczas tych pochodów powstała pieśń wojenna zanotowana przez Galla:

*Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące -
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali -
A nas burza nie odstrasza ni szum groźnej morskiej lali,
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie -
A my skarby i potwory towim, skryte w oceanie!*
(przeł. R. Gródecki)

Było w Krzywoustym coś z ducha wielkich awanturników i zdobywców. Późniejszy Cortez, który po wylądowaniu w Meksyku kazał spalić okręty, sam o tym nie wiedząc, szedł w jego ślady. Zapędziwszy się pod Kołobrzeg i ustawiwszy wojsko do ataku, miał Krzywousty przemówić doń w ten sposób: "z kraju pomocy nie będzie, nieprzyjaciel wokół, uciekać nie ma gdzie... za daleko - tylko w Bogu i w orężu nadzieja!"

(...)

Odwrot cesarza spod Głogowa w kierunku Wrocławia stał się jego klęską i głęboko zdemoralizował wojsko niemieckie, które miało samo układać i śpiewać pieśni na cześć polskiego księcia:

*Bolesławie, Bolesławie, ty przestawny książę panie,
Ziemi swojej umiesz bronić wprost niezmordowanie!
Sam nie sypiasz i nam także snu nie dasz ni chwili,
Ani we dnie, ani w nocy, ni w rannej godzinie!*
(przeł. R. Gródecki)

Oddziały polskie napadały ze wszystkich stron. Toż samo czyniło „zawzięte chłopstwo”. Do tego doszło, że żołnierze niemieccy bali się wychodzić poza linię czat - nawet dla załatwienia naturalnej potrzeby.

Straty były duże. Codziennie

*ginęło tam niemało szlachetnych mężów, których po wypruciu wnętrza nadziewano solą i aromatami,
składając na wozach, na których miał je wysyłać cesarz do Bawarii lub Saksonii jako jedyny haracz Polski!*

Krzywousty wyniośle odrzucił ponowne, znacznie skromniejsze warunki Henryka, żądającego już tylko okupu. Godnie zamknął kampanię zwycięstwem w pobliżu Wrocławia, po którym psy rozwłóczyły po poboju ciała poległych nieprzyjaciół.

W czasie ostatecznego odwrotu wojsk cesarskich zginął Świętopełk czeski, przebity oszczepem przez kogoś ze swoich.

Jeszcze tej samej jesieni i na początku zimy dokonał Bolesław odwetowego wypadu na Czechy oraz najazdu na Pomorze, gdzie zdobył i spalił trzy grody.

Odnosząc te zwycięstwa miał Krzywousty dwadzieścia trzy lata.

(...)

Z samych początków epoki rozbicia dzielnicowego, którą tradycja upiera się ogłaszać za czasy wszechstronnej mizერი, pochodzą pewne zabytki kultury.

Przede wszystkim słynne Drzwi Gnieźnieńskie, szczęśliwie ocalałe ze wszystkich katastrof i do dziś znajdujące się na swym właściwym miejscu - w archikatedrze. Wykonano je zapewne za rządów trzeciego z synów Krzywoustego - Mieszka, zwanego Starym - a już na pewno w tym samym stuleciu XII.

Pochodzenie pamiątki tłumaczono dawniej w sposób nie tylko mylny, lecz całkiem fantastyczny. Utrzymywała się wersja, że Polacy złupili je w Kijowie!

Dziś wiemy, do jakiej szkoły artystycznej zaliczali się twórcy Drzwi. Ojczyzną tego kunsztu był kraj położony nad rzeką Mozą, dzisiejsza Belgia i północno-wschodnia Francja. Nie musi to oznaczać, że księżę polski nabył tam cenne dzieło i kazał przywieźć je do Gniezna. To tylko sami artyści tam się kształcili lub pochodzili stamtąd, w każdym razie należeli do zespołu twórców określanego teraz jako szkoła mozańska.

Bo same Drzwi są po prostu naznaczone polskością. Ich osiemnaście płaskorzeźbionych i odlanych w brązie scen to dzieje żywota św. Wojciecha, zwłaszcza jego misji wśród Prusów, męczeństwa, wykupienia zwłok i powrotu relikwii do Polski. Pojawia się tam i postać Bolesława Chrobrego. Wygląd ludzi, szczegóły ich strojów są polskie. Na tej samej Górze Lecha, gdzie stoi ozdobiona Drzwiami katedra, znajdowano w wykopaliskach obuwie takie właśnie, jakie przedstawili artyści.

Kim byli? Do jakiej narodowości się zaliczali? Najłatwiej powiedzieć, że księżę lub biskup sprowadził ich z nad Mozy. Lecz w takim razie czy owe szczegóły byłyby aż tak bardzo wierne? Czy Francuz albo Belg nie wyposażyłby rzeźbionych postaci w stroje, jakich używano w jego rodzinnym kraju? W dawnych czasach nie tak znowu bardzo dbano o autentyzm. Autor wspomnianego wizerunku Mieszka II ani się zatroszczył, jak naprawdę ubiera się polski król. Wpakował mu na głowę koronę cesarską, przydał do niej anglosaską tunikę oraz płaszcz. I na samych Drzwiach Gnieźnieńskich zauważyć można rzecz zagadkową: wojownicy pruscy bardzo jakoś przypominają polskich chłopów. Wolno przypuszczać, że artysta nie jeździł na studia na pruskie pogranicze, lecz posłużył się tymi wzorami, jakie znał i do których od dzieciństwa przywykł.

Twórca Drzwi Gnieźnieńskich mógł być po prostu Polakiem, wykształconym w szkołach i bractwach artystycznych Zachodu Europy. Jeśli - co ogromnie prawdopodobne - był zakonikiem, klasztory tej samej reguły stały dlań otworem, przełożeni zaś mogli celowo skierować go tam, gdzie by nie zmarniały jego zdolności.

Ernst Jünger Tradycja

Tradycja – dla pokolenia pragnącego przemieścić punkt ciężkości ponownie na stronę krwi – jest słowem pięknym i dumnym. To, że jednostka nie trwa samotnie w przestrzeni, lecz jako część wspólnoty, dla której winna żyć a w razie potrzeby również złożyć siebie w ofierze – jest prawdą objawioną każdemu człowiekowi z poczuciem odpowiedzialności, której ten broni w sobie właściwy sposób i sobie właściwymi środkami. Jednostka jednak ma nie tylko zobowiązania wobec wyższej wspólnoty w przestrzeni, ale również w sposób jeszcze istotniejszy – choć niewidoczny – w czasie. Krew dziadów współgra z jej własną, żyje w królestwach i więzach, które tamci stworzyli, podtrzymywali i bronili, aby wzięła ich dzieło w swe ręce i godnie nim zarządzała. Współczesny człowiek jest ogniskową między człowiekiem dawnym a przyszłym. Życie mknie przez więzy pokoleń jak żarząca się iskra lontu; spala je, tworząc zarazem łączność, która trwa od początku do samego końca. Niebawem również ten współczesny człowiek stanie się dawnym, ale spokojem i pewnością napawa go myśl, że jego działalność i czyn nie przeminą wraz z nim, ale stanowiąc będą fundament, na którym stanie jego dziedzic z bronią i narzędziami w ręku.

Czyn staje się historyczny, gdy przestaje być czynem samym w sobie i dla siebie samego, a staje się wiązką sensownych oddziaływań czynów poprzednich pokoleń, biegnącą w zagadkowy świat nienarodzonych. Mrok włada z jednej i drugiej strony czynu, jego korzenie giną w szarzyźnie przeszłości, a owoce spadają na ziemię dziedziców, której sprawca nigdy nie ujrzy, jednak czyn jego określają i żywą obydwie te strony, na czym właśnie polega jego ponadczasowa świetność i najwyższe szczęście. Bohatera i wojownika odróżnia od najemnika i awanturnika fakt, że czerpie on siłę z rezerw wyższych niż te czysto osobiste i że płonąca luna jego czynu nie jest migocącym żarem upojenia, ale tryskającym ogniem, w którym wokół przeszłości wykuwa się przyszłość. W wielkości awanturnika jest coś przypadkowego, jakby dzikie wtargnięcie w barwne krainy – któremu nie można odmówić piękna – ale w bohaterze dokonuje się to co konieczne, to co uwarunkowane losem – to on jest człowiekiem prawdziwie etycznym, mającym znaczenie nie tylko dzisiaj, nie tylko dla siebie, ale zawsze i dla wszystkich. Obojętnie, na jakim polu bitwy i na jakiej rzekomo straconej pozycji – tam gdzie należy bronić przeszłości i walczyć dla przyszłości, każdy czyn się liczy. Inaczej jednostka – ta jak najbardziej może zaginać, jednak jej losem, jej szczęściem i dopełnieniem jest właśnie owa śmierć dla wyższego, przyszłego celu. Człowiek bez więzi umiera a wraz z nim jego dzieło, w swoich rozmiarach przykrojone do jego własnych potrzeb; bohater ginie, ale jego upadek jest jak krwistoczerwony zachód słońca, który zwiastuje nowy, piękniejszy poranek. I tak też musimy wspominać wielką wojnę – jako rozjarzoną zorzę wieczoru, w której barwach zawierał się już przepych poranka. I tak też musimy postrzegać naszych poległych przyjaciół i dostrzegać w ich śmierci oznakę doskonałości, najdobitniejsze potwierdzenie samego życia.

Jeżeli naszym szczęściem ma stać się życie w przestrzeni losu, jeśli mamy popłynąć tajemniczą rzeką krwi, jeśli chcemy działać w sensownej, znaczącej krainie, a nie wegetować w czasie i miejscu, w które rzucił nas przypadek narodzin, to musimy jak najdalej uciekać od obrzydliwych śmieci kramarskich wiar głoszących, „że to wszystko na nic się zdało.”

Nie, narodziny nie mogą być dla nas przypadkiem! Są one aktem osadzającym nas we właściwym dla nas gruncie, i za pomocą tysiąca symbolicznych nici określającym nasze miejsce w otoczeniu. Dzięki nim stajemy się członkami narodu, wspólnoty ludzi tworzących związek za sprawą narodzin. Tutaj rozpoczynamy życie – ruszamy w nie z konkretnego punktu, ale wprawieni w ruch, który rozpoczął się długo przed nami i późno po nas ustanie. Przemierzamy tylko jeden odcinek potężnej drogi, a na tym odcinku musimy nie tylko nieść pełnię naszego dziedzictwa, ale także spełniać wszystkie wymogi epoki.

I oto podłe, zdegenerowane w brudzie naszych miast mózgi zaczynają głosić pogląd, że nasze narodziny są zbiegiem okoliczności, i że „tak samo mogliśmy urodzić się Francuzami jak i Niemcami”. Faktycznie może się to odnosić do kogoś, kto tak mniema. Człowiek taki jest dziełem

przypadku. Obecnie jest mu szczęście poczucia konieczności narodzin do wielkiego losu, utożsamiania się z jego walkami i napięciami, wznoszenia się i upadku – wraz z nim. Mózgi te – co jest dla nich typowe – aktywizują się zawsze wtedy, gdy nad wspólnotami zespolonymi więzami narodzin ciąży nieszczęście. (Krótko chciałbym zwrócić uwagę na ostatnie, bardzo zgrabne posunięcie intelektu: pasożytnicze i destrukcyjne wnikanie we wspólnotę krwi i fałszowanie jej istoty za sprawą argumentów rozumu, a mianowicie za pomocą na pierwszy rzut oka dość wdzięcznego pojęcia „wspólnoty losu”. Do wspólnoty losu przynależałby jednak również Murzyn, którego wojna zaskoczyła w Niemczech, zmuszony uczestniczyć w naszej drodze krzyżowej, począwszy od kartek na chleb a na czarnej rzepie skończywszy. Tak pojmowaną „wspólnotę losu” tworzą pasażerowie schodzącego na dno parowca w przeciwieństwie do wspólnoty krwi załogi okrętu, który tonie z powiewającą banderą).

Bardzo ważny dla zwolennika idei narodu jest fakt własnych narodzin w jasno odgraniczonej wspólnotcie, w tym dostrzega nawet powód najwyższej dumy. Gdy przekracza własne granice, to nie w ten sposób, że bezkształtnie przez nie przepływa, ale rozciągając je w przyszłość i w przeszłość. Jego siła tkwi w tym, że jest *ukierunkowany*, mając tym samym bardziej instynktowną pewność, dogłębną orientację, będącą dziedzictwem krwi, która nie potrzebuje pomocy niepewnych i zmiennych latarni sygnalizacyjnych wymędrkowanych pojęć. I tak życie jednostki wzrasta w większą jedność, samo staje się jednością, w każdej chwili tworząc sensowne więzi. Ostro zarysowane przez swoje granice, przez święte rzeki, straszliwe pasma górskie i rozległe morza – tak utrwała się w przestrzeni życie wspólnoty narodu. Ugruntowane w tradycji i skierowane ku odległej przyszłości – tak koncentruje się w czasie. Biada temu, kto podcina własne korzenie, staje się człowiekiem zbyt cennym, pasożytniczym. Negować przeszłość znaczy także zaprzeczać przyszłości i przemijać z ulotną grą fal dnia dzisiejszego.

Jednak równie wielkim zagrożeniem dla człowieka idei narodu jest lekceważenie teraźniejszości. Posiadanie tradycji to obowiązek *życia tradycją*. Naród nie jest domem, który każde pokolenie winno niczym generacja koralowców powiększać jedynie o nowe piętra, albo w którego raz na zawsze zbudowanych pomieszczeniach będzie po prostu tylko egzystować. Zamek czy kamienica – to zdaje się raz na zawsze ustalone po zakończeniu budowy. Niebawem jednak nowe pokolenie dostrzega za sprawą nowych potrzeb konieczność istotnych zmian. Lub też budynek ulega spaleni, zburzeniu, a odmłodzona, zmieniona budowla wznosi się nad starymi fundamentami. Zmieniają się fasady, wymianie ulega każdy kamień, jednak dom ten pozostaje – w odniesieniu do danego pokolenia – wciąż tym samym domem. Miałaby ten dom wyłącznie w okresie renesansu czy baroku osiągnąć swą doskonałość, miałaby wówczas zyskać aktualny na wieki język form? Nie, ale to czym był, skrycie drzemie jakoś w tym, czym dziś jest.

Dziś pokazuje być może chłodną fasadę jako wyraz odczuć wypływających z wartościowań najwyższej, aktywnej energii, ale ten jego wyraz jest do pomyślenia tylko na ułożonym warstwach gruncie tradycji. W każdej linii, w każdej skali drzemie tajemniczo to, co minione, a jednak współczesność ustala oblicze całości, napawając nas wzniosłością, pokrywając nas w poczuciu: to my, to my sami jesteśmy. I tak być musi.

Krew jednostki powstała zatem z wymieszania tysiąca ciemnych strumieni krwi, a mimo to jednostka nie jest wyłącznie sumą swych przodków, nie tylko nosicielem ich woli, ich cech, lecz również sobą w ostro odgraniczonej odrębności. To samo tyczy się najpojemniejszej formy narodu: państwa. Wczoraj mieliśmy imperium cesarskie, dziś republikę, jutro być może ponownie imperium cesarskie, a pojutrze dyktaturę. Każdy z tych ustrojów zawiera jako niewidzialną spuściznę, mniej lub bardziej skrytą za językiem jej form, również treść ustrojów minionych, ale każdego obowiązkiem jest pozostać w pełni samym sobą, co jako jedyne umożliwia pełne spożytkowanie mocy.

Odnosi się to również w tej minucie do każdego z nas. Być spadkobiercą, nie oznacza być epigonem. Żyć w tradycji, nie oznacza ograniczać się do niej. Odziedziczyć dom, oznacza nim zarządzać, a nie przekształcać go w muzeum pozostawiając rodzicielskie sprzęty na swoich miejscach. „Cesarstwo musi trwać dla nas”, powiedział Luter ciosząc belki pod budowę nowego Kościoła; wiedział, że imperium i budowla, moc i jej uwarunkowany epoką wyraz nie są tym

samym. „Cesarstwo musi trwać dla nas” – nas to również dotyczy, a w tej woli istotności trwa nasza prawdziwa tradycja, której można równie stanowczo bronić pod dachem republiki, jak i cesarstwa. Istotne jest, aby potężny nurt krwi zawładnął wszelkimi środkami, instytucjami danej epoki. To czy stacza się bitwę metodami republiki, czy dyrektoriatu jest obojętne, gdy bitwa jest zwycięska. W epoce białej broni trzeba umieć zwyciężać mieczem, w epoce maszyny karabinem maszynowym, czołgiem, eskadrą bombowców i atakiem gazowym. W epoce patriarchalnej armia musi wierzyć, że bije się dla swego króla i władcy, w epoce mas może roić sobie, że idzie na śmierć dla jakiegoś postępu o charakterze społecznym czy też gospodarczym. Idee, przekonania i etyka ciemnego nurtu krwi zawsze będą musiały opalizować w barwnych refleksach współczesnego mu oświelenia, lecz rzecz nie w jego poznaniu, w stawianych przez niego problemach i jego pozornych celach, ale w tym, by urzeczywistniła się jego pełna moc w ramach „imperium”.

Owo urzeczywistnienie jest także naszym obowiązkiem. Także my winniśmy podjąć próbę postawienia w służbie imperium płodną, skondensowaną energię nowoczesnego państwa, wyzwolić ją z macek pragmatycznego intelektu i aż po ostatnie koło zamachowe, po ostatni kawałek żelaza uczynić poddaną prawom krwi. Dopiero wtedy będziemy mogli żyć tradycją. Jeszcze daleko nam do tego celu. A właśnie akcentowanie zewnętrznych form tradycji, tak charakterystyczne dla dzisiejszej narodowej młodzieży, jest oznaką niedoboru wewnętrznej siły. Nie żyjemy w muzeach, ale w aktywnym, wypełnionym wrogością świecie. Nie jest żywą tradycją bohomas starego Fryca na każdej skrzyneczce cygar, nie jest nią to, że każda popielniczka i każda para szelek otrzyma swój czarno-biało-czerwony stempel. To reklama w najobrzydliwszym wydaniu, jak większa część naszych parad, uroczystości upamiętniających i dni chwały jest niesmaczną reklamą, żeliwnym kiczem, który przysparza nam tylko i wyłącznie poputczyków.

Szykujcie się na nowy Rossbach w najwłaściwszych formach naszej epoki, z czego Stary Fryc tam w górze najbardziej się ucieszy. Twórcie nie fryderycjańskie powieści, ale narodową powieść naszych czasów, której materia wielokształtnie jak życia samo rozpościera się przed waszym wzrokiem. Nie żyjcie jak marzyciele w zatopionych epokach, ale spróbujcie nadać siłę uderzeniową Republice, nadać jej moc kierowaną nurtem krwi, albo zniszczcie ją, jeśli nie zechce być twarda. Nie rozplwajcie się we wspomnieniach łaski Fryderyka Wilhelma I, która w swoim czasie była czymś bardzo istotnym, ale zrozumcie, że metody społeczne zależą od epoki, i że dziś chodzi przede wszystkim o to, aby stworzyć pojęciowy fundament włączenia robotników do narodowego frontu, co w innych krajach już się dokonało.

Stańcie się tymi, którymi jesteście; wówczas przyzywać będziecie przyszłość i przeszłość w żarze ogniskowej współczesności i w najgłębszym szczęściu własnych czynów. Wówczas pozyskacie rzeczywistość, żywą tradycję a nie tylko jej rozdygotane odbicie, godne, by pokazywać je we wszystkich kinach przedmieść.

(tłum. Natalia Żarska)

Tekst pod tytułem „Die Tradition” ukazał się po raz pierwszy w 10 numerze czasopisma Die Standarte, wydanym 8 listopada 1925 roku. Polskie tłumaczenie pochodzi ze zbioru „ Publicystyka polityczna” Ernsta Jüngera, wydanego w 2007 r. przez wydawnictwo Arcana.

Jan Paweł II Pamięć i tożsamość (fragment)

Powrót do Europy?

Bardzo aktualnym zagadnieniem jest odniesienie Polski do nowej Europy. Można się pytać, jakie tradycje wiążą Polskę ze współczesną Europą Zachodnią. Czy mogą zrodzić się problemy na skutek niedawnego włączenia jej w organizmy europejskie? Jak Ojciec Święty widzi miejsce i rolę Polski w Europie?

Po upadku komunizmu w Polsce zaczęto lansować tezę o konieczności powrotu do Europy. Oczywiście, były uzasadnione racje, które przemawiały na rzecz takiego postawienia kwestii. Niewątpliwie bowiem system totalitarny narzucony ze Wschodu oddzielał nas od Europy. Tak zwana „żelazna kurtyna” była tego wymownym symbolem. Równocześnie jednak, z innego punktu widzenia, teza o „powrocie do Europy” nie wydawała się poprawna, również w stosunku do ostatniego okresu naszej historii. Chociaż bowiem politycznie zostaliśmy oddzieleni od reszty kontynentu, to przecież Polacy nie szczędzili w tych latach wysiłku, aby wnieść własny wkład w tworzenie nowej Europy. Jak nie wspomnieć w tym kontekście o heroicznej walce z nazistowskim agresorem w roku 1939, a także powstania, jakim w 1944 roku Warszawa zareagowała na horror okupacji. Znaczący był potem rozwój „Solidarności”, który doprowadził do upadku systemu totalitarnego na Wschodzie - nie tylko w Polsce, ale i w krajach sąsiednich. Trudno więc zgodzić się bez uściśleń z tezą, według której Polska „musiała wracać do Europy”. Polska już była w Europie, skoro aktywnie uczestniczyła w jej tworzeniu. Mówiłem o tym na wielu miejscach podczas moich podróży do Polski. Mówiłem o tym przy różnych okazjach, w pewnym sensie protestując przeciw krzywdzie, jaką się wyrządza Polsce i Polakom poprzez fałszywie rozumianą tezę o „powrocie” do Europy.

Ten protest skłania mnie do spojrzenia na dzieje Polski i zapytania, jaki był wkład narodu w formowanie tak zwanego ducha europejskiego. Sięgając w daleką przeszłość, można powiedzieć, że to współtworzenie zaczęło się już od chrztu Polski, a zwłaszcza od Zjazdu Gnieźnieńskiego w roku 1000. Przyjmując chrzest z pobratymczych Czech, pierwsi władcy Polski piastowskiej tworzyli w tym miejscu Europy strukturę państwową, która pomimo swoich historycznych słabości zdołała przetrwać napór z Zachodu (niemiecki *Drang nach Osten*). Żyjące na ziemiach na zachód od Polski plemiona słowiańskie uległy tej presji. Polska zaś była zdolna przeciwstawić się i stała się wręcz bastionem dla różnych zewnętrznych naporów.

My, Polacy, współtworzyliśmy zatem Europę, uczestniczyliśmy w rozwoju historii naszego kontynentu, broniąc go również zbrojnie. Wystarczy przypomnieć choćby bitwę pod Legnicą (1241 r.), gdzie Polska zatrzymała najazd Mongołów na Europę. A co powiedzieć o całej sprawie krzyżackiej, która znalazła swój rezonans na Soborze w Konstancji (1414-1418)? Jednakże wkład Polski nie miał wyłącznie charakteru militarnego. Również na płaszczyźnie kultury Polska wniosła własny wkład w tworzenie Europy. Bardzo często w tym wymiarze przypomina się zasługi szkoły w Salamance, a zwłaszcza hiszpańskiego dominikanina Francisca de Vitorii (1492-1546) w opracowywaniu prawa międzynarodowego. Słusznie. Nie można jednak zapominać, że dużo wcześniej Paweł Włodkowic (1370-1435) głosił te same zasady, jako fundament uporządkowanego współżycia narodów. Nie nawracanie mieczem, ale przekonywanie - *Plus ratio quam vis* - to złota zasada Uniwersytetu Jagiellońskiego, który dla kultury europejskiej miał olbrzymie zasługi. Na tym uniwersytecie wykładali wybitni uczeni, na przykład Mateusz z Krakowa (1330-1410) czy Mikołaj Kopernik (1473-1543). Trudno tu nie przypomnieć jeszcze jednego faktu historycznego: w okresie kiedy Europa Zachodnia pogrążała się w wojnach religijnych po reformacji, którym usiłowano zapobiegać, przyjmując niesłuszną zasadę: *Cuius regio eius religio*, ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August stwierdzał uroczyście; „Nie jestem królem waszych sumień”. Istotnie, nie było w Polsce

wojen religijnych. Była natomiast tendencja ku porozumieniom i uniom: z jednej strony, w polityce, unia z Litwą, a z drugiej, w życiu kościelnym, unia brzeska zawarta pod koniec XVI wieku pomiędzy Kościołem katolickim a chrześcijanami wschodniego obrządku. Chociaż o tym wszystkim bardzo mało się wie na Zachodzie, nie można nie uznać istotnego wkładu Polski w kształtowanie chrześcijańskiego ducha Europy. Dzięki temu właśnie wiek XVI słusznie jest nazywany „złotym wiekiem” Polski. Wiek XVII natomiast, zwłaszcza druga jego część, odsłania pewne znamiona kryzysu zarówno w polityce - wewnętrznej i międzynarodowej - jak też w życiu religijnym. Z tego punktu widzenia obrona Jasnej Góry w 1655 roku ma nie tylko charakter pewnego cudu historycznego, ale także może być interpretowana jako ostrzeżenie na przyszłość w sensie wezwania do baczności wobec zagrożenia, które pochodziło z Zachodu zdominowanego zasadą *cuius regio eius religio*, a także ze Wschodu, gdzie coraz bardziej umacniała się wszechwładza carów. W świetle tych wydarzeń można by powiedzieć, że jeżeli Polacy zawinili w czymś wobec Europy i ducha europejskiego, to zawinili przez to, że pozwolili zniszczyć wspaniałe dziedzictwo XV i XVI stulecia.

Wiek XVIII jest okresem wielkiego upadku. Polacy pozwolili zniszczyć dziedzictwo Jagiellonów, Stefana Batorego i Jana III Sobieskiego, Nie można zapomnieć o tym, że jeszcze pod koniec XVII wieku właśnie Jan III Sobieski ocalił Europę przed zagrożeniem otomańskim w bitwie pod Wiedniem (1683). To było zwycięstwo, które oddaliło od Europy niebezpieczeństwo na długi czas. W pewnym sensie powtórzyło się pod Wiedniem to, co wydarzyło się w XIII wieku pod Legnicą. W XVIII wieku Polacy zawinili tym, że nie ustrzegli dziedzictwa, którego ostatnim obrońcą był zwycięzca spod Wiednia. Wiadomo, że powierzenie narodu królom z dynastii saskiej dokonało się pod presją zewnętrzną, zwłaszcza Rosji, która dążyła do zniszczenia nie tylko Rzeczypospolitej, ale także tych wartości, których była ona wyrazem. Polacy w ciągu XVIII wieku nie zdobyli się na to, aby ten proces rozkładowy zahamować, ażeby obronić się przed niszczącym wpływem *liberum veto*. Szlachta nie zdobyła się na przywrócenie praw stanu trzeciego, a przede wszystkim praw wielkich rzesz chłopów polskich przez uwłaszczenie ich i uczynienie obywatelami współodpowiedzialnymi za Rzeczpospolitą. To są starodawne winy społeczeństwa szlacheckiego, a zwłaszcza znacznej części arystokracji, dygnitarzy państwowych i niestety także niektórych dygnitarzy kościelnych.

W tym wielkim rachunku sumienia z naszego wkładu do Europy trzeba więc w szczególny sposób zatrzymać się na historii wieku XVIII. Pozwoli nam to z jednej strony zdać sobie sprawę, jak rozległy jest bilans win i zaniedbań, z drugiej jednak - uświadomić sobie to wszystko, co w wieku XVIII było początkiem odnowy. Jak nie wspomnieć na przykład Komisji Edukacji Narodowej, pierwszych prób zbrojnego oporu wobec zaborców, a przede wszystkim wielkiego dzieła Sejmu Czteroletniego? Szala win i zaniedbań była jednak przeważająca i dlatego Polska upadła. Jednakże upadając, zabrała ze sobą w testamentie to wszystko, co miało się stać zaczynem odbudowy jej niepodległości, a także jej późniejszego wkładu w budowę Europy. Ten następny etap miał się jednak rozpocząć dopiero po upadku XIX-wiecznych systemów i tak zwanego Świętego Przymierza.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska mogła znowu aktywnie uczestniczyć w współtworzeniu Europy. Dzięki niektórym politykom, a także wybitnym ekonomistom było możliwe osiągnięcie w krótkim czasie wielkich rezultatów. Wprawdzie na Zachodzie, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, patrzono na Polskę z powątpiewaniem, jednak naród z roku na rok stawał się coraz bardziej godnym zaufania partnerem w powojennej Europie. Był to także partner odważny, co stało się jasne w roku 1939: kiedy demokracje zachodnie łudziły się, że mogą coś uzyskać, paktując z Hitlerem, Polska zdobyła się na stawienie czoła wojnie, która z punktu widzenia sił militarnych i technicznych była bardzo nierówna. Władze polskie uznały, że w tym momencie było to nieodzowne, ażeby obronić przyszłość Europy i europejskości.

Kiedy wieczorem 16 października 1978 roku stanąłem po raz pierwszy na balkonie Bazyliki św. Piotra, aby pozdrowić rzymian i pielgrzymów zgromadzonych na placu w oczekiwaniu na wynik konklawe, powiedziałem, że przychodzę z „dalekiego kraju”. W gruncie rzeczy ta odległość w sensie geograficznym nie była tak wielka. Samoloty pokonywały ją zaledwie w dwie godziny. Mówiąc o dalekości, miałem na myśli istniejącą jeszcze w tamtym momencie „żelazną kurtynę”. Papież, który przychodził spoza „żelaznej kurtyny”, w prawdziwym sensie tego słowa przychodził z daleka, chociaż w rzeczywistości przychodził z samego centrum Europy. Przecież geograficzne centrum Europy znajduje się właśnie na terenie Polski.

W latach istnienia „żelaznej kurtyny” zapomniano o Europie Środkowej. Stosowano dość mechanicznie podział na Zachód i Wschód, uznając Berlin, stolicę Niemiec, za miasto-symbol, przynależące jedną swą częścią do Niemiec Federalnych, a drugą do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W rzeczywistości ten podział był całkowicie sztuczny. Służył celom politycznym i militarnym. Wyznaczał granice dwóch bloków, ale nie liczył się z historią ludów. Polakom trudno było przyjąć do wiadomości, że należą do Wschodu, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, iż właśnie w tych latach granice Polski zostały przesunięte na Zachód. Przypuszczam, że tak samo trudno było to zaakceptować Czechom, Słowakom czy Węgrom, a także Litwinom, Łotyszom czy Estończykom.

Z tego punktu widzenia powołanie papieża z Polski, z Krakowa, mogło mieć wymowę niejako symboliczną. Nie było to jedynie powołanie konkretnego człowieka, ale całego Kościoła, z którym był on związany od urodzenia; pośrednio było to także powołanie narodu, do którego należał. Zdaje mi się, że tę sprawę szczególnie jasno widział i wyraził kard. Stefan Wyszyński. Osobiście byłem zawsze przekonany, że wybór Polaka na papieża tłumaczył się tym, czego Prymas Tysiąclecia wraz z Episkopatem i Kościołem polskim potrafili dokonać w warunkach ograniczeń, ucisku i prześladowań, jakim byli poddani w tamtych trudnych latach.

Chrystus powiedział kiedyś do Apostołów, posyłając ich na krańce ziemi: „Będziecie mi świadkami” (Dz 1, 8). Wszyscy chrześcijanie są wezwani do świadczenia o Chrystusie. W szczególny sposób są do tego powołani pasterze Kościoła. Powołując na Stolicę Rzymską kardynała z Polski, konklawe dokonało znaczącego wyboru: tak jak gdyby zażądało świadectwa Kościoła, z którego ten kardynał przychodził - jakby go zażądało dla dobra Kościoła powszechnego. W każdym razie wybór ten miał dla Europy i dla świata szczególną wymowę. Do tradycji bowiem należało, od prawie pięciu wieków, że rzymską Stolicę św. Piotra przejmowali kardynałowie włoscy. Wybór Polaka nie mógł nie oznaczać jakiegoś przełomu. Świadczył o tym, że konklawe, idąc za wskazaniem Soboru, starało się odczytywać „znaki czasu” i w ich świetle kształtować swoje decyzje.

W tym kontekście można by się także zastanawiać nad wkładem Europy Środkowo-Wschodniej w tworzenie się dziś Europy zjednoczonej. Mówiłem na ten temat przy różnych okazjach. Jak mi się wydaje, najbardziej znaczącym wkładem, jaki narody tego regionu mogą zaoferować, jest obrona własnej tożsamości. Narody Europy Środkowo-Wschodniej pomimo wszystkich przeobrażeń narzuconych przez dyktaturę komunistyczną zachowały swoją tożsamość, a poniekąd nawet ją umocniły. Walka o tożsamość narodową była dla nich walką o przetrwanie. Dzisiaj obie części Europy - zachodnia i wschodnia - ponownie się zbliżają. To zjawisko, samo w sobie jak najbardziej pozytywne, nie jest pozbawione ryzyka. Wydaje mi się, że podstawowym zagrożeniem dla Europy Wschodniej jest jakieś przyćmienie własnej tożsamości. W okresie samoobrony przed totalitaryzmem marksistowskim ta część Europy przebyła drogę duchowego dojrzenia, dzięki czemu pewne istotne dla życia ludzkiego wartości mniej się tam zdewaluowały niż na Zachodzie. Tam żywe jest jeszcze na przykład przekonanie, iż to Bóg jest najwyższym gwarantem godności człowieka i jego praw. Na czym wobec tego polega ryzyko? Polega ono na bezkrytycznym uleganiu wpływom negatywnych wzorców kulturowych rozpowszechnionych na Zachodzie. Dla Europy Środkowo-Wschodniej, w której tendencje te mogą jawić się jako rodzaj „promocji kulturowej”,

jest to dzisiaj jedno z najpoważniejszych wyzwań. Myślę, iż właśnie z tego punktu widzenia toczy się tutaj jakieś wielkie duchowe zmaganie, od którego zależeć będzie oblicze Europy tworzące się na początku tego tysiąclecia.

W roku 1994 odbyło się w Castel Gandolfo sympozjum na temat tożsamości europejskich społeczeństw (*Identity in Change*). Pytanie, wokół którego toczyła się debata, dotyczyło zmian, jakie wydarzenia XX wieku wprowadziły w świadomości tożsamości europejskiej i tożsamości narodowej w kontekście nowoczesnej cywilizacji. Na początku sympozjum Paul Ricoeur mówił o znaczeniu pamięci i zapominania, jako dwóch przeciwstawnych sił działających w historii człowieka i społeczeństw. Pamięć jest tą siłą, która tworzy tożsamość istnień ludzkich, zarówno na płaszczyźnie osobowej, jak i zbiorowej. Przez pamięć bowiem w psychice osoby tworzy się poniekąd i krystalizuje poczucie tożsamości.

Pośród wielu interesujących stwierdzeń, które wówczas usłyszałem, jedno szczególnie mnie uderzyło. Chrystus znał to prawo pamięci i w momencie kluczowym swego posłannictwa do niego się odwołał. Kiedy ustanawiał Eucharystię podczas Ostatniej Wieczerzy, powiedział: „To czyńcie na moją pamiątkę” (*Hoc facite in meam commemorationem*: Łk 22, 19). Pamiątka mówi o pamięci. Tak więc Kościół jest poniekąd żywą „pamięcią” Chrystusa: Chrystusowego misterium, Jego męki, śmierci i zmartwychwstania, Jego Ciała i Krwi. Tę „pamięć” realizuje się poprzez Eucharystię. Wynika stąd, że chrześcijanie, celebrując Eucharystię, to jest przywołując na „pamięć” swego Pana, nieustannie odkrywają swoją tożsamość. Eucharystia wyraża coś najgłębszego, a zarazem najbardziej uniwersalnego – świadczy o przebóstwieniu człowieka i nowego stworzenia w Chrystusie. Mówi o odkupieniu świata. Ale ta pamięć odkupienia i przebóstwienia człowieka, tak bardzo dogłębna i uniwersalna, jest równocześnie źródłem wielu innych wymiarów pamięci człowieka i ludzkich wspólnot. Pozwala ona człowiekowi rozumieć siebie w jakimś najgłębszym zakorzenieniu, a zarazem w ostatecznej perspektywie swego człowieczeństwa. Pozwala ona również rozumieć różne wspólnoty, w których kształtują się jego dzieje: rodzinę, ród i naród. Pozwala też wnikać w dzieje języka i kultury, w dzieje wszystkiego, co jest prawdziwe, dobre i piękne.

Antoni Mazanowski

Zepsucie dzisiejszej młodzieży gimnazjalnej i środki zaradcze

Kraków 1911. — Druk W. L. Anczyca i Spółki
Nakładem Redakcyi "Przeglądu Powszechnego"

I.

Okólnik Rady Szkolnej Krajowej z d. 8 lutego 1911 roku, L. 795/IV, poddając rozprawie gron nauczycielskich sprawę zaprowadzenia legitymacyi dla uczniów, łączy potrzebę tego środka z zepsuciem dzisiejszej młodzieży.

"Smutne a coraz liczniejsze objawy niewłaściwego zachowania się młodzieży szkolnej poza szkołą, jak różne wybryki na ulicy, uczęszczanie gromadnie do lokalów publicznych, już od dawna napełniają troską i lękiem nie tylko nauczycieli, ale i szerokie koła publiczności. Mimo usilnych starań nauczycieli, nadzór opiekuńczy nad młodzieżą poza szkołą jest wobec wzrastającej z roku na rok ilości tej młodzieży niezmiernie utrudniony, zwłaszcza w miastach większych, mieszczących w swym obrębie wiele zakładów i tysiące uczniów, których ewidencji niepodobna utrzymać. To też często się zdarza, że uczniowie, którzy dopuściwszy się jakiegoś wykroczenia, bywają za to pociągani do odpowiedzialności przez publiczność lub organa władzy, podają nazwiska zmyślone, wskutek czego niemożliwem się staje wykrycie właściwego winowajcy, względnie stwierdzenie, czy nim jest naprawdę uczeń, jak na to wskazuje mundur, noszony przez sprawcę karygodnego czynu".

Stąd powstała myśl wprowadzenia legitymacyi, zaopatrzonych w fotografie, podpisano własnoręcznie przez posiadacza.

Nie ulega wątpliwości, że dla młodzieży zwłaszcza starszej, nie kontrolowanej na każdym kroku przez rodzinę lub dozór domowy, legitymację nawet z fotografiami mogą stać się w miastach większych bardzo pożyteczne. Dla uczniów klasy I i II w przeważnej części odegrają legitymacje rolę nieszkodliwej a zaszczytnej odznaki, dogadzającej próżnostce, niby żeton sportowca, chociaż we Lwowie i w Krakowie nawet i tej grupie niedorosłej młodzieży nie zaszkodzą one dlatego, że w tym wieku strach przed odpowiedzialnością bywa większy, zatem i środek ten silniej oddziała; powtóre dlatego, że dwa lata, przeżyte bez winy, łatwiej nadal od winy uchronią, po trzecie dlatego, że i w tym wieku (11 — 12 lat) trafiają się złodzieje i tytoniowi palacze. Legitymację już w 1908 roku na konferencji dyrektorów proponował dyrektor Nogaj, gorąco je polecali dyrektorowie Jamrógiewicz i Maciszewski. Środek to zatem nie nowy i może nieraz zapewne oddać usługę: rządziej chyba policji na wypadek przytrzymania, gdyż policja i bez legitymacyi daje sobie radę, częściej samym uczniom, jako środek ostrzegawczy i wstrzymujący przed spełnieniem złego czynu. Nie bardzo przemawia za legitymacjami argument, że one odejmą obcym indywidualom możliwość podszywania się pod godność uczniów. Po pierwsze indywidualów takich nawet w dwóch stolicach naszych niema dużo: setka na kilka tysięcy uczniów. Powtóre indywiduala te będą mogły być tylko wówczas demaskowane przez policję, kiedy coś przeszkobią, gdy zaś takie indywidualum będzie spokojne i niekarygodne, policja nie wkroczy i fałszywego munduru nie odkryje. Po trzecie ten, kto fałszuje godność studencką, nie zawaha się legitymacyi fałszować. Bezpośrednim władzom szkolnym przybędzie niełatwe zadanie ścisłej kontroli nad legitymacjami, zwłaszcza przy skłonności uczniów do zmiany zakładów. Pomimo tego jestem za legitymacjami, jako za środkiem na psychologię studencką oddziaływać mogącym dodatnio.

Dziwi mię, że Koło Krakowskie Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych oświadczyło się za zniesieniem mundurów.

Bez wątpienia legitymacya i mundur są środkami wychowawczymi jednakowego pokroju. Nasz uczniowski mundur atoli musi być uważany za środek wyższy od legitymacyi. Z nim się już uczeń zżył, w największej ilości wypadków przyzwyczaił się doń, nawet polubił go. Przekonał się, że mundur zapewnia mu u społeczeństwa ochronę, pewnego rodzaju sympatyę, nawet estymę. Zniesienie teraz mundurów, równałoby się — jestem najgłębiej przekonany — rozpuszczeniu cugli młodzieży i narażeniu jej na manowce przez znaczny przeciąg czasu. Wprowadzenie ich przed siedemnastu laty przyczyniło się bardzo do zmniejszenia występności wśród młodzieży, wpłynęło na podniesienie poczucia osobistej godności i nareszcie nakłada wciąż pewien przymus utrzymania się na poziomie kultury, do której daje prawo szkoła wyższa. Można mieć dużo przeciw przystrojeniu w takie same mundury wychowawców szkół przemysłowych czy też seminaryów nauczycielskich; ale projekt zniesienia mundurów sama starsza młodzież uznaje za niedobry. Odczuwa ona wybornie, że przez to naraziłoby się na szwank uzyskany przez mundury ład, porządek, czystość szaty — utrudniłaby się kontrola, wytworzyłyby się tysiączne sposobności do złego.

Wszelako czy legitymacye, czy mundury — to są wychowawcze środki zewnętrzne, materyalne, pomocnicze, nie zaś główne. Duszy one nie przeistoczą. Najlepszy dowód w tem, że i w Warszawie i w Rosyi od dawna istnieją zarówno mundury, jak legitymacye, a jednak możemy się pochlubić lepszą młodzieżą, niż jest warszawska, tem bardziej rosyjska, choć legitymacyi u nas dotąd nie było.

Gdy istnieje wewnętrzne zepsucie, nie pomogą na nie tak łatwo ani mundury ani legitymacye. Wszelako cieszyć się tylko możemy, że Rada Szkolna w kwestyi tak ważnej, jak zepsucie młodzieży, którą wychowujemy, odwołuje się do wychowawców, dając im dowód zaufania. Nie od dziś nad zepsuciem młodzieży debatują różne związki i towarzystwa, nie od dziś różni ludzie ręce załamują i szaty rozdzierają w rozpacz nad niem. Godzi się spojrzeć kwestyi prosto w oblicze. Przedewszystkiem zdaje mi się, że ponure głosy, mówiące o ogromie zepsucia, dyktowane są przez strach, który ma wielkie oczy. Trzeba tu rozróżnić dwie sprawy: ilość i jakość wykroczeń. Czy ilość ich upoważnia do uogólnienia i rozciągnięcia zepsucia na cała młodzież? Statystyka wykazuje następująco daty:

ROK: 1) 1891/2 W następnym roku zaprowadzono mundury 2) 1892/3, 3) 1893/4, 4) 1894/5, 5) 1896/6, 6) 1896/7, 7) 1897/8, 8) 1898/9, 9) 1899/1900, 10) 1900/1, 11) 1901/2, 12) 1902/3, 13) 1904/5, 14) 1905/6, 15) 1906/7, 16) 1907/8, 17) 1908/9

ILOŚĆ UCZNIÓW: 1) 14. 109, 2) 14. 067, 3) 14. 649, 4) 16. 518, 5) 16. 507, 6) 17. 638, 7) 18. 892, 8) 20. 262, 9) 21. 393, 10) 23. 269, 11) 25. 345, 12) 27. 262, 13) 31. 009, 14) 29. 000 15) 32. 926, 16) 33. 714, 17) 34. 462

ILOŚĆ WYKLUCZEŃ: 1) 110, 2) 68, 3) 65, 4) 57, 5) 54, 6) 86, 7) 88, 8) 118, 9) 130, 10) 80, 11) 77, 12) 146, 13) 118, 14) 154 15) 129, 16) 130 17) 141

PROCENT: 1) 4/5 2) 2/5 3) 2/5 4) 2/3 5) 2/5 6) 1/5 7) 1/2 8) 1/2 9) 3/5 10) 3/5 11) 3/10 12) 3/10 14) 1/2 13) 2/5 15) 1/2 16) 2/5 17) 2/5

Z tej statystyki wynika, że bezpośrednio po zaprowadzeniu mundurów występność młodzieży zmniejszyła się niemal o połowę. Podnosić się nieco zaczęła znowu z biegiem lat, lecz w latach najgorszych 1898/9 i 1809/900 nie dosięgła tego poziomu, jaki miała w r. 1891/2 t. j. przed mundurami. W ostatnich zaś latach procent występności młodzieży nie jest wprawdzie tak mały, jak w latach 1900/1 i 1901/2, lecz równa się procentowi trzechlecia po wprowadzeniu mundurów, jest na ogół procentem przeciętnym i wcale nie dostarczałby powodu do silnych obaw, gdyby się brało

w rachubę tylko ilość wykluczeń. Prawda i to, że znaczna liczba małych przekroczeń nie dochodzi do wiadomości władz szkolnych, że znaczna część ich załatwia się w krótkiej drodze dyscyplinarnej i przy użyciu mniejszego aparatu kar, skąd wypływa, że cyfry wykluczeń nie są jeszcze absolutnie miarodajne, gdy chodzi o uogólnienie sądu co do zepsucia młodzieży. Byłbym mimo tego skłonny mniemać, że nie jest ono tak przestraszająco rozszerzone, nie jest tak epidemicznie dla ogółu młodzieży groźne i niebezpieczne, jak się to powszechnie mniema. A zresztą jeszcze jeden szczegół w sprawie powiększania się ilości wykroczeń, karanych ekskluzywą. W ostatnim dwudziestu a nawet dziesięcioleciu ilość występków wogóle wzrosła w Europie, ponieważ poziom etyczny ludzi nie tylko u nas obniża się z roku na rok. Oto np. w Niemczech na sto tysięcy ludności ponad 12 lat wieku karano w 1883 — 984 ludzi, w 1884 — 1025 i t. d. do 1903 — 1234 ludzi, co rok o kilkunastu lub kilkudziesięciu więcej. Przed laty 15 był jeden występny na 73 ludzi, w 1908 roku jeden na 60 (1). U nas jeden występny uczeń przypadał w r. 1891/2 przed wprowadzeniem mundurów na 128 uczniów, w r. 1892/3 bezpośrednio po wprowadzeniu mundurów jeden na 221, w r. 1895/6 jeden na 306, w 1901/2, najpomyślniejszym, jeden na 329, nareszcie w r. 1908/9 jeden na 248 — stan bądź co bądź dwakroć lepszy, niż przed mundurami.

W Anglii "niebieska księga kryminalistyki" za rok 1909 skarży się, że cyfra występków przed laty pięciu nie dosięgała 62. 000, w 1909 r. przekroczyła 68. 000.

We Włoszech minister oświaty w 1910 stwierdza, że z roku na rok wzrasta występność małoletnich. Wykroczenia przeciw własności rosną normalnie, natomiast wielki zaznacza się wzrost zbrodni przeciwko ludziom. W niektórych prowincjach w 40 a nawet w 60 wypadkach zbrodni na sto sprawcami byli małoletni. Nawet wieś dostarcza ich dużego procentu, a miasta Medyolan, Palermo, Neapol roją się od band sutenerów, złodziei, bandytów i morderców. Gdy mowa o występnej młodzieży, nieodbicie nasuwa się myśli inna kategoria młodzieży — nieszczęśliwej, tej, która kulą lub trucizną przedwcześnie załatwia rachunki swoje z życiem. Kwestya samobójstw jest o wiele boleśnieszka, niż wykroczenia; przeciwko ostatnim jesteśmy jako wychowawcy o wiele silniej uzbrojeni, niż przeciw samobójstwom. Tymczasem stoimy być może w przededniu wzrostu samobójstw młodzieży. Sąsiadujemy z Rosją: wszystkie prądy, tam nurt sobie wśród młodzieży czyniące, dotyczą nas niezawodnie, dzięki ciągłej komunikacji naszej i zakordonowej młodzieży. Otóż w Rosji ilość samobójców w szkole wzmagą się od r. 1904 ogromnie. W r. 1904 było ich na ogół 20; w 1905 — 47; w 1900 — 71; w 1907 — 112; w 1908 — 312; w 1909 — 449. W sześciu latach zatem liczba samobójstw dzieci wzrosła z 20 na 449. Tam obecnie już ministerium oświaty szuka środków zaradczych, starannie zbiera statystykę, ogłasza wezwania do społeczeństwa; inteligencja tworzy komitety, toczą się obrady: w pismach wciąż artykuły. W 1908 roku medykosanitarny wydział przy ministerium spraw wewnętrznych dołączył do sprawozdania o samobójstwach, złożonego przez prof. Chłopina, dwadzieścia ośm notatek samobójców uczniów. Parę dla przykładu:

— "Zdaje mi się — pisze samobójca siódmoklasista — że główną moją wadą brak woli. Należało usunąć tę wadę. Gdybym był spotkał człowieka, któryby mną pokierował, którego bym pokochał i czcił całą duszą, zdaje mi się, że bym wszedł na dobrą drogę: okazało się to niemożliwe. Wszyscy teraz słabi, wszyscy potrzebują podpory — a ja tylko zwiększałem ilość bezsilnych ludzi. Mówią mi: przed tobą życie, nauka, sztuka, miłość! A ja do niczego! Widzicie więc: — ot, głupia historia..."

— "Nauczywszy się geometrii — pisze samobójca szóstej klasy — odpowiadałem i nie wiem, co mi się stało — zryłem. Odtąd ogarnęła mnie rozpacz, a myśl o samobójstwie przeszkadzała mi się uczyć. Znow zryłem i postanowiłem się zabić. Jakże chciałbym cofnąć rok szkolny i zacząć od początku! Wstyd mi profesorów, kolegów i rodziców. Oni myślą, że jestem leń, a tymczasem gdyby nie rozpacz, nie byłoby tak źle".

I tak mniej więcej we wszystkich tych listach: szkoła gra wybitną rolę. A u nas też od lat paru

samobójstwa pojawiają się — i może nie szkodziłoby, aby Sprawozdania Rady Szkolnej wprowadziły ich obiektywną rubrykę obok rubryki wykluczeń. Bez wątpienia idą one w parze z występami, gdyż są rezultatem bardzo podobnych przesłanek psychicznych i moralnych, należy też je obok zepsucia młodzieży traktować.

Ale ani ilość wykluczeń z zakładów, ani ilość ukarań, notowanych w czarnych księgach, ani nawet ilość samobójstw w naszych szkołach nie upoważniałaby do rozpaczliwych wywodów i wniosków, gdyby nie rodzaj, jakość i nie forma wykroczeń. Wybryki istniały i dawniej. Niepokoi i dręczy cynizm obecnych wybryków, czasem ich brutalność. Wątpliwości religijne istniały i dawniej u młodzieży, ale forma ich miewała charakter procesu duszy, szukającej prawdy. Dziś tej psychicznej niemocy towarzyszy bezmyślność i bydlęce niemal rozkielznanie. Wykroczenia przeciw obyczajności i folgowanie popędowi mąciły zawsze pogodę serc młodych; ale kryły się one w mrokach i nie występowały z taką bezczelnością i bezwstydem. Statystyka wykluczeń Rady szkolnej uczy, że np. taka par excellence szkolna rubryka wykluczeń, za lenistwo, niedbałe pełnienie obowiązków w ostatnich latach znika; natomiast utrzymuje się zawsze z tą samą znaczną ilością wykluczeń rubryka: zniewaga nauczyciela a rośnie rubryka wykluczeń za kradzieże; w dawniejszych latach (1893 — 1897) reprezentowały ją cyfry: 9, 10, 12 i t. d. Od r. zaś 1900 przeciętną cyfrą wykluczeń za kradzież jest cyfra 36, a w r. 1907/8 nawet 45! Wywód stąd jasny: z wykluczeń za zniewagi profesora wynika, że przepaść między uczniem a profesorem wciąż istnieje, że zwiększenia się przekroczeń przepisów o cudzej własności wynika, że dusza dziatwy do 15 roku życia zepsuła się i winę w tej mierze ponosi dom, jest bowiem rzeczą jasną, że za kradzieże wykluczani bywają w ogromnej większości uczniowie klas niższych, jakkolwiek statystyka szkolna nie rozdziela wykluczeń na dwie kategorie: młodziej i starszej młodzieży.

Obok rodzaju występów nie bez znaczenia bywa ich forma. Uczeń kl. VII utrzymywał przez czas dłuższy stosunek z panną, która skutkiem tego miała zostać matką. Chcąc uniknąć kłopotu, nakłonił pannę, aby przyjęła kilku jego kolegów w mniemaniu, że w ten sposób uniknie ojcostwa. Gdy się to stało, gdy wszystko w powiększonej przez plotkę postaci wyszło na jaw, gdy policja aresztowała pannę, jako uprawiającą pewien proceder bez lekarskiej i policyjnej kontroli, gdy młodzieńcowi groziło wykluczenie ze wszystkich szkół kraju, wystąpił szybko i dobrowolnie ze swego zakładu, a wiedząc, że całe miasto mówi o skandalu, zaczął się ukazywać na linii A-B w chwilach tłumnego spaceru publiczności z aplombem i podniesioną bezczelnie głową, jako bohater sensacyi...

Inny przykład. Od marca 1907 roku do marca 1908 r. popełniono w prowincjonalnym mieście trzy kradzieże z włamaniem. Śledztwo wykryło, że sprawcami wszystkich kradzieży byli dwaj 14-letni uczniowie szkoły wydziałowej i uczeń 4 klasy gimnazjalnej. Sami się włamywali, sami pełnili funkcje strażników, pośredników i paserów. Szanowni wychowankowie bursy... Słowem zorganizowany bandytyzm u dzieci.

Jeszcze jeden przykład. Stu abiturientów szkoły X domagało się rekolekcyi przed maturą. Z pociechą i zadowoleniem władzo zgodziły się na to. Po trzydniowych rekolekcyach, udzielanych z zapalem przez znakomitego kapłana — do spowiedzi i komunii zgłosiło się czterdziestu. — Pan się temu dziwisz? — powiedziano mi. — To jeszcze bardzo dobrze. Chyba pan o tem nie wiesz, że abiturynci szkoły Y przeszłego roku po rekolekcyach a przed komunią całą noc pili, nad ranem kazali sobie podać duże porcje soczystych befsztyków, a o g. 8 przystąpili do Stołu Pańskiego.

I ten charakter zepsucia jest niepokojący. Skąd on płynie? Źródłem jego jest, mojem zdaniem, zgrubienie natury ludzkiej, wybujały egoizm, propagowany w czasach najnowszych, jako zasada siły, jest nadto nadzieja uzyskania jeśli nie aprobaty to zaciekawienia, może współczucia społeczeństwa, a przynajmniej części prasy.

Jednym słowem przyczyn strojenia się występku w maskę bohaterstwa szukać trzeba nie gdzieindziej, jak tam, gdzie szukać trzeba przyczyn samego występku t. j. po pierwsze przede wszystkim w środowisku i w społeczeństwie samem. Taka młodzież, jakie społeczeństwo. I znów przytaczam parę przykładów.

Przechodząc raz ulicą Szpitalną, zauważyłem na wystawie antykwarni książkę ze sprośnym obrazkiem p. t. "O życiu i czynach markiza Sadego" — romans. Wstąpiłem do sklepu i prosiłem żyda, aby uprzątnął książkę z wystawy, ale żyd nie chciał; zagroziłem policją, ale żyd śmiał mi się w oczy, czując moc swej bezkarności.

Innym razem przed Bożem Narodzeniem, kiedy wszystkie okna wystawy na jednej z głównych ulic były pełne książek i obrazków o rozpustnej treści, musiałem jednego ze znajomych księży prosić, by wpłynął na uprzątnięcie śmiecia. Witryny księgarni kolejowych założone od podłogi do sufitu stosami bezecnych romansów, wystawy sklepów lśnią się golizną kobiet; gdy się pojawi taka skandalicznie pornograficzna książka, jak "Sanin" Arcybaszewa albo "Jama" Kuprina, w drobiazgowych szczegółach opisująca życie nowożytnego lupanaru, u nas za trzy miesiące ją wydają po polsku, wypożyczalnio skwapliwie kupują po trzy egzemplarze i młodzież czyta. Niedosć, że wybitni pisarze, jak Kaz. Tetmajer, Daniłowski, Żeromski, Sieroszewski ze szczególną soczystością malują sceny płciowych upojeń nieślubnych par; nadto wszystko, co najgorsze z obcych literatur, nasi wydawcy Starego Zakonu z pośpiechem kolportują — dla młodzieży. Wiedeń się broni: raz skonfiskował kilkanaście tysięcy broszur pornograficznej makulatury: to znów utworzył biuro celom jej zwalczania. U nas nic. Przyleciała jaskółka w postaci uchwały lwowskiej Rady miejskiej — ale czy wywróży wiosnę? To pytanie.

Rozsadnikiem obniżenia poziomu etycznych ideałów jest obecnie kinematograf. Sceny miłosne i rodzajowe, okazywane tam, należą do kategorii płaskich, niesmacznych, nieraz brutalnych i dziczających. Jakże często przesuwają się tam w szeregu obrazów wszystkie perypetye morderstwa, kradzieży, podpalenia i t. p. Cóż dziwnego, jeżeli uczeń nasyciwszy się widokiem takich scen, kupuje gołębia, idzie do parku krakowskiego, przepycha go przez rozszerzono otwory klatki krogulczej i ze słodyczą przypatruje się, jak orzeł morduje gołębia. Sam byłem świadkiem tej sceny. Błoto życia, różne kombinacje występku zużytkowują dzisiejszy kinematograf, obliczany na niskie instynkty ulicy.

Znowu powtarzam. Włochy bronią się. My nie. We Włoszech ustawa w r. 1910 nałożyła podatek na wstęgi kinematografu z wyjątkiem wychowawczych, oświatowych, wypadków z narodowego życia, przemysłu domowego, pejzażu, widoków miast, pomników i sportu. Przedstawienie kinematograficzne tam wymaga w miasteczkach i we wsiach zgody komisji, złożonej z dyrektora szkoły, sędziego dla spraw małoletnich przestępców, lekarza i ojca rodziny. Za gorszące widowiska płacą się kary: po raz pierwszy 300 lirów, po raz wtóry 1000 lirów — a kary idą na fundusz wychowawczy dla nieletnich przestępców.

Poza społeczeństwem, prasą, literaturą — na zepsucie młodzieży ujemnie działa dzisiejsza rodzina. Pozwalam sobie przytoczyć łatwy rachunek. Jeżeli szkoła dobrze spełnia swe naukowe zadanie, to uczy tek, że dla pracy domowej potrzeba uczniowi w najgorszym razie paru tylko godzin czasu. Nawet słabsi uczniowie mogą w trzech godzinach dziennej pracy domowej wypełnić wszelkie naukowe dezyderaty szkolne.

Mówię to na mocy obserwacji: żaden z moich czterech synów nie uczył się i nie uczy dłużej nad trzy godziny dziennie. A jednak od godziny południowej pierwszej do dziewiątej wieczornej, po strąceniu 3 godzin nauki i 2 godzin przy chlebowym stole, pozostają codzień 3 godziny swobody. Na nie musi rodzina wynaleźć zatrudnienie, aby nie służyły ku bezmyślnej, a czasem szkodliwej

włóczędze poza domem. Tymczasem olbrzymia część rodzin nie dba o wynalezienie zajęć na ten codzienny zbytek wolnego czasu. Dodajmy na miesiąc 4 niedziele, w których do trzech godzin dziennie przybywa najmniej pięć wolnych, a otrzymamy co miesiąca potężną ilość 110 godzin, które chłopiec musi czemś wypełnić. Tu leży najprzykrzejsze zaniedbanie obowiązków rodziny.

Ale czy tylko tu? Czy nie zdarza się, że ojcowie, za poradą lekarzy, organizują, rozpustę dla własnych synów? Czy nie stało się celem rodzicielskiego wychowania dzieci utuczyć, powiększyć wzrost, przesycić, przyozdobić? U tych przekarmionych dzieci czy nie rozwija się przedwcześnie popęd płciowy i czy nie staje się ich męką? Strój, lektura, widowiska, tańce, słodycze, cała dekoracja życia od obrazków na pudełkach do poematów i romansów rozpłomieniają uczuciowość i chorobliwie ostrzą wyobraźnię, a skutkiem tego młodocianemu wiekowi towarzyszą płciowe występki i choroby. "Należy zaniechać wychowywania dzieci, jak bydła — powiedział słusznie niedawno zmarły Tołstoj — a ludzkie dzieci należy zacząć wychowywać dla celów duchowych, nie wyłącznie cielesnych".

Nieraz odwołujemy się na zdanie Juwenala: *Mens sana in corpore sano*. Jużci ja to rozumiem, że u nas fizyczne wychowanie dużo znaczy, że nasza higiena szkolna wiele pozostawia do życzenia; ale czy należy zasadę czynić materyalistycznym dogmatem, któryby w sposób jednostronny i niebezpieczny ducha czynił zależnym od zdrowego organizmu? W Toledo w Ameryce (Ohio) istnieje sławna szkoła Lagrange city. Dyrekcja tej szkoły w jednym z prospektów wyraża taką opinię: "Szkoła publiczna dotychczas rozwijała tylko dwie strony natury dziecka: umysłową i fizyczną, powinna dziś się zająć z wielką uwagą trzecią, t. j. stroną moralną". "Mam to przekonanie — pisze pastor Moxom — że powinniśmy ograniczyć szczegóły planu nauki, natomiast korzystać z okoliczności, by rozwijać prawdomówność, szacunek dla innych, czystość i uczciwość charakteru. Wyostrzony intelekt bez wysubtelnionego sumienia może tylko wydać Mefistofelosów". Podobnie sądzą i europejscy wybitni uczeni. Znakomity lekarz chorób duszy dr. Schafer w Hamburgu, gani szkoły niemieckie, że nie czuwają nad kształceniem charakteru. "Czy są tam wykłady o cnocie? Oto główne pytanie. Naucz mnie, jak mam kochać ojczyznę, rodziców, dzieci, pokaż mi, co to jest moralność i jaka jej wartość. Wiesz, co jest prosta linia, ale na co ci się to przyda, skoro nie wiesz, co jest w życiu proste, co krzywe. Tylko jedno kształci doskonale ducha, mianowicie jasne rozróżnienie złego od dobrego". Wydaje się to pewnem, że niezadowolający moralny stan młodzieży naszej jest wpływem czynników, głęboko w duchu czasu tkwiących i ze stanem moralnym czy to środowiska, czy też społeczeństwa związanych, a nawet zależnych od prądów europejskich. Jeżeli się tedy chce oddziaływać na zmianę tego moralnego stanu, to trzeba użyć środków bardzo rozległych w kierunku odmiany społeczeństwa i rodziny. Sprawa to tak trudna, że nie należy się dziwić niejednej szkole, nazbyt pochopnie rezygnującej z tego zadania. Mogę tę niewczesną gotowość poprzeć szeregiem zdań pedagogów.

— Zazwyczaj uczniowie nie podlegają dozorowi szkolnemu w godzinach wolnych od nauki — mówi Hartwell Jones.

— Kontrola uczniów poza szkołą ogranicza się do zakazu palenia w drodze do szkoły i ze szkoły — mówi dr. Drachmani, prof. gimnazjalny w Kopenhadze.

— W wielkich miastach dozór pozaszkolny musi być nader niedostateczny, lecz wykroczenia, dochodzące do wiadomości szkoły bywają karane — pisze profesor jednego z monachijskich gimnazyów To samo powtarza dr. Samter, prof. Sophiengymnasium w Berlinie.

— Rzadko wtrącamy się do życia rodziny, gdzie powaga rodziców powinna być wystarczającą — mówi p. Bazin, dyrektor (proviseur) liceum La canal pod Paryżem. Toż samo utrzymuje p. GeorGIN, profesor liceum Henryka IV w Paryżu.

— Zakład naukowy nie śledzi zachowania się uczniów poza szkołą. To należy w zupełności do rodziców — utrzymuje p. Cammerelan, rektor Instituto del cardinal Cisneros w Madrycie.

— Szkoła nie rozszerza swego dozoru nad uczniami poza mury zakładu. Nie jest to zwyczajem naszego kraju, a rodzice też sprzeciwiliby się temu — donosi Adolf Coelho, dyrektor Curso superior a Letras w Lizbonie.

— Zakład tylko wówczas zwraca uwagę na zachowanie się uczniów poza szkołą, gdy wykroczenie popełniono w drodze do szkoły lub gdy doniesie policja; w innych razach odpowiedzialni są rodzice — pisze dr. Preiswerk, rektor wolnego gimnazjum (Rector den freien Gymn.) w Bernie, z czym się zupełnie godzi inny berneński pedagog, dr. Finsler, rektor der Litteraturabteilung des stadlischen Gymnasium.

— Zachowanie się uczniów poza szkołą, nie bywa osobno dozorowane; powinna je kontrolować rodzina, w prawa której nam wtrącać się nie przystoi — pisze dr. Hugo Mouzik, profesor Elisabethgymn. w Wiedniu.

— Nie da się nawet pomyśleć o dozorze uczniów za szkołą; w danym razie trzeba by korzystać z pomocy tureckiej policji — pisze p. Kiryak Janniki, prof. greckiej szkoły w Smyrnie, a zdanie to podziela Spiridon Dalla, dyrektor gimnazjum greckiego εν Λευχάδι (wyspy Jońskie), znany w Grecji pedagog.

Oto chór europejski, zgodnie odrzucający sięganie w głąb rodziny w celach poprawczych. Szkoła tedy bez wyrzutu sumienia może w tym względzie ograniczyć swoją rolę. Stąd wszakże nie wypływa, aby zrzekła się roli wychowawczej i poprzestała na naukowej. Jeżeli gdzie, to u nas tem droższem i tem ważniejszym jest spełnianie zadań wychowawczych, bo my, nie mając dziejowej akcji samodzielnej, dążymy do przyszłości i z większą niż inne narody prawdą możemy powiedzieć: jaką młodzież sobie wychowamy, taką przyszłość mieć będziemy.

II.

Przy rozważaniu środków zaradczych trzeba liczyć się z jednym pewnikiem, że młodzież dzisiejsza a dawna to są dwie kategorie ludzi odmienne co do psychicznego ustroju. "Dawna dyscyplina szkolna dziś zła — mówi Foerster — ponieważ młodzież psychologicznie inna, niż dawne pokolenie. Z powodu ogólnego rozwoju kulturalnego nawet w niższych klasach obudził się tak wielki popęd do samodzielności i tak silne poczucie godności u dzieci, że karność utrzymywana zapomocą środków represyjnych, prowadzi wszędzie do większego rozpuszczenia". Skoro już atoli szkoła raz doszła do tego przeświadczenia, że wśród młodzieży istnieje zepsucie, nie ilościowo, lecz jakościowo ostrą swą formą niepokojące, obowiązana jest, mimo trudności, do obmyślenia wszystkich środków, na jakie ją stać, aby usunąć tę niemoc u młodzieży. Jakże to mogą być środki?

Pozwolę sobie wskazać niektóre z nich, zgoła nie roszczęc pretensyi ani do oryginalności pomysłów ani do wyczerpania przedmiotu.

I. Na czele położyć tu należy kwestyę religijną. U nas powtarzają się od czasu do czasu zakusy wytrącania krzyża z rąk młodzieży. Zakłada się we Lwowie pismo Wolna szkoła, agituje się przeciw spowiedzi i komunii, obrzuca się księży błotem, słowem, próbuje się, czy nie da się ogarnąć młodzieży i zwrócić w kierunku poganizmu lub bezwyznaniowości. A nasza młodzież jest w 3/4 obojętną — dotąd. Obojętność ta niekiedy bywa nawet rażąca, n. p. podczas nabożeństwa. Nabożeństwo 3/4 naszej dojrzałej młodzieży polega na gnuśnem, jak pańszczyzna wykonywanem, siedzeniu przez 1/2 godziny w ławce kaplicy, na niechętnem przyklęknięciu w czas podniesienia i na prędkiem, prawie radosnem wyjściu z kaplicy. Modli się co piąty z książeczki, reszta śpi, rozmawia lub o czem myśli. Spowiedź o tyle dobra, o ile przynosi dni wolno; sama — przyjmuje się jako dodatkowe malum necessarium.

Jak się ma rzecz w Europie?

Większość angielskich zakładów średnich dzień świąteczny całkowicie oddaje obowiązkom

religijnym. Uczniowie trzy razy chodzą do świątyn — godzina od 3 — 4 służy na lekcję religii lub czytanie Biblii, poczem następuje religijny koncert; wieczór spędza się na nauce religii na poniedziałek, w którym pierwszą godziną bywa religia. Niedziela tedy nie jest właściwie świętem. Odpoczynek daje się uczniom w sobotę, a nadto wolne popołudnie miewają w poniedziałek i środę.

W katolickich Niemczech (n. p. Monachium) szkoła kontroluje pełnienie powinności religijnych: Trzykrotna spowiedź do roku, wspólne nabożeństwa, wielka powaga katechetów, zależnych wyłącznie od biskupów, zapewniają religii wpływ potrzebny.

Natomiast we Francji, Hiszpanii, Włoszech, Grecji, Rumunii, Bułgarii, Szwajcaryi, Niemczech — szkoła nie kontroluje religijnych obowiązków, nie miesza się do nich, pozostawia je domowi i rodzicom.

W Austrii Zarys organizacyjny w § 66 poleca, "by szkoły za istotną, część swego zadania poczytywały współdziałanie w religijnem i moralnem wychowaniu młodzieży". Czwarty punkt tego paragrafu dodaje: "wszyscy nauczyciele, jakiegokolwiekby uczyli przedmiotu, mają ścisły obowiązek zwracać jak najsumienniejszą uwagę na moralność uczniów". "Idea religii i moralności ma być punktem środkowym, do którego wszystkie przedmioty zmierzać powinny".

To w Austrii, a u nas w Polsce? U nas tem bardziej. Wielki hetman, Stanisław Żółkiewski, na czele swego testamentu, jako wolę z za grobu synowi dyktowaną, polecał: "Przed wszystkimi rzeczami najpierwej wiarę świętą chrześcijańską mocno i statecznie trzymaj i dla niej krwi rozlać, żywota położyć nie żałuj". Nasz filozof Libelt w dekalogu swoim, jako dziewiąte przykazanie poda: "Religia Chrystusa, stawiająca świat widomy w bezpośrednim związku z niewidomym, a bliżej: religia katolicka, zniżająca samowładztwo rozumu — jest religią słowiańską". Nasz poeta-filozof Krasiński w dziele "O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku" powie: "Już w rodzinnem usposobieniu Słowian tkwią dwa główne przykazy: Boga miłować nadewszystko, bliźniego na równi z sobą. Ten przepis jest ich religią, bo to wiąże, spaja, "religuje". Dlatego można plemię słowiańskie w porównaniu z politycznym romańskim i filozoficznym germańskim — oznaczyć mianem religijnego, a to w tem najobszerniejszem znaczeniu, że nie dopuszcza rozdziału między prawem bożem w niebie a ludzkim na ziemi, ale owszem w jeden ład godzi byt z ideałem, porządek świecki z duchowym, państwo z Kościołem, politykę z miłością, wszystko, co jest, z tem, co być powinno". A u nas wielcy ludzie byli zawsze religijni, czy się nazywali Kopernikiem, Sobieskim, Zamojskim lub Żółkiewskim, czy Mickiewiczem, Słowackim lub Krasińskim. Zasadniczą atoli tu rzeczą jest nie wdawać się w Kompromisy i logicznie a ściśle wyznawać chrześcijaństwo.

Nasz uczeń, gdyby go zapytano: jesteś chrześcijaninem? odpowiedziałby bez namysłu: tak! Ale w czasie mszy, podczas komunii kapłańskiej nie przykłęka z lenistwa, posty bez skrupułu łamie, własności cudzej nie szanuje (ławki kraje, sprzęty szkolne niszczy, ogrodzenia, drzewka łamie, książki kradnie i t. d.) Przychodzi w święta na mszę, bo grozi nieusprawiedliwienie, ale nie modli się, pobożnie nie rozmyśla, Boga w sobie nie szuka. Na jego częściowe usprawiedliwienie trzeba tu powiedzieć, że zasad religii wprawdzie go uczą, lecz sposobów i form wyznawstwa i konsekwentnej, ścisłej, logicznej praktyki chrześcijaństwa nie zawsze uczą. Tymczasem "potęga i wartość wewnętrzna religii i moralności polega nie tylko na treści, lecz na formie i bezwzględności jej postulatów: gdyby z pobudek życiowych i wogóle praktycznych można było wchodzić z religią i moralnością w kompromis, stałaby się jedna i druga tylko hipotezą, posiadającą wartość tymczasową, o tyle trwałą, o ile myśl ludzka czegoś lepszego nie wynajdzie, a wówczas utraciłaby całą doniosłość i przestałaby być jedynym kryterium dla oceny i dyrektywy czynów ludzkich" (I. K. Dworza czek). Na częściowe też usprawiedliwienie naszego ucznia powiedzieć się godzi, że nasze książeczki do modlitw w bardzo znacznej części redagowane są nieudolnie pod względem

formalnym, częstokroć bezdusznym, czasem płytko. Nie masz w nich ognia Bożego, nie są w stanie rozżarzyć duszy młodzieńczej; ma być troską katechetów podsuwać odpowiednie książki do modlitw.

W 1909 roku w sierpniu, w Petersburgu, w czasie zjazdu katechetów z całej Rosji, jednogłośnie wśród zapłała uchwalono poświęcać dużo czasu lekturze Nowego Zakonu, gdy pop Gładków zeznał, że z gimnazjum wyszedł zdecydowanym ateuszem, dopiero dzięki Pismu św. stał się wierzącym. Wiem, że "kanony zakazują" czytania Biblii bez komentarza, ale czyby na to rady już nie było? Czyby nie należało pomyśleć o podręcznym wydaniu Nowego Zakonu z komentarzem? Czy nie okazałoby się dobrem choćby Naśladowanie Tomasza à Kempis?

Rzecz prosta, że indywidualność duszpasterzy gimnazjalnych olbrzymią rolę w tej kwestii odgrywać musi, Rzecz atoli niezawodna, że pierwszym i głównym środkiem przemiany złej duszy młodzieży byłoby wzmocnienie uczuć religijnych gdyż, jak mówi ów. Augustyn: *Difficile est, ut male vivat, qui bene credit.*

II. Drugim zaś środkiem byłoby uszlachetnienie uczuć patryotycznych. Za moich szkolnych czasów uczeń nie myślał zgoła o polityce, o narodowości, o wrogach tej narodowości, o jej obronie. Raz na rok urządzaliśmy o 6 rano, bez wiedzy władz szkolnych nabożeństwo za Polskę w grobach i śpiewaliśmy na niem "Boże, coś Polskę", a potem chyłkiem rozchodziliśmy się po domach i do szkoły. Dziś uczucie przywiązania do nieszczęśliwej ojczyzny obudziło się i potężnie wzrosło w piersiach młodzieży. Starsza młodzież nie tylko w znacznej części czyta gazety i zajmuje się sprawami narodowymi, ale co roku i w każdym zakładzie znajdują się jednostki, które za swój koleżeński obowiązek uważają propagować uczucia te wśród młodszych.

Jednakże ci premierzy w apostołstwie patryotyzmu otrzymują dziś natchnienia od młodzieży uniwersyteckiej. A nasza młodzież uniwersytecka znajduje się w stanie fermentu, o czym świadczy chociażby ilość krakowskich kółek akademickich o odmiennych nastrojach politycznych: "Polonia", "Sodalicya", "Czytelnia", "Zjednoczenie", "Ognisko", "Znicz", "Promień", "Spójnia", "Jedność", "Ethos", "Haschachar" i inne. Wyobraźmy sobie tych młodych pedagogów, kształcących politycznie — młodszych gimnazjalistów. A jednak oni to właśnie ci akademicy kształcą średnią szkołę co do uczuć i przekonań patryotycznych.

Kilka dni temu pewien uczeń x gimnazjum pozwał przed sąd honorowy ucznia gimnazjum y, i prosił mnie, abym na sąd przyszedł. Chodziło o drobiazgi, ale natury nie osobistej, lecz ogólnej. Sąd miał się odbyć 12 marca w gimnazjum x. Drugi przyprowadził ze sobą arbitrow akademików, pierwszy zaś wziął swoich kolegów. Wyniki spór, czy można zgodzić się na taki skład sądu. Wezwano mojej interwencji: rozstrzygnąłem sprawę przeciw dopuszczeniu akademików. Ośmieliłem się nawet powołać na to, iż wiem, że dyrektor gimnazjum x, jako gospodarz zakładu, nie pozwoliłby akademikom w wewnętrzne jego sprawy się wtrącać. Na to dostałem przekazom wyrażoną opinię: "prawda, że gimnazjum x jest pod tym względem "izolowane", u nas jednak wolno akademikom przestawać z uczniami".

Tak jest: akademicy dziś w obu stolicach kształcą opinie patryotyczne uczniów, oni rozwijają w uczniach polityczne poglądy, wcześniej przechylają ku jakiejś partyi. Nadaremnie tylokrotnie do umęczenia powtarza się: "uczeń niech się uczy, polityka nic go obchodzić nie powinna". Kogo takie powtarzanie uspokaja, ten podobny do strusia, kryjącego głowę pod skrzydło. Takby bowiem wprawdzie być powinno, lecz tak nie jest i tak nie będzie. Starsi uczniowie czytają gazety, interesują się polityką bliższą, narodową: jeżeli czytają nie w szkole, to czynią to w domu. Notabene nie tylko u nas.

Oto p. Hartwell Jones z Londynu pisze: "W każdej szkole publicznej u nas jest czytelnia, w której

znajdują się codzienne pisma".

— Dr. Winter z Norwegii donosi: "U nas w Norwegii bardzo interesują się wszyscy polityką".

— Dr. Brann z Koldyngi w Danii mówi: "Śród niektórych uczniów starszych u nas przejawia się zajęcie się polityką".

— Pedagog E. B. z Monachium stwierdza: "Większość uczniów, zaczawszy od klas średnich, w istocie czyta w domu gazety".

I takie sądy płyną z Francji, Hiszpanii, Portugalii, Włoch, a osobliwie z Bułgarii, Grecji, Rumunii. Prawda, że wychowawcy dwóch ostatnich krajów ubolewają nad tom zjawiskiem, nie znajdując na nie rady.

Wedle mego zdania, zamiast ubolewać nad tom zjawiskiem, trzeba by niem kierować; profesorowie nie powinni by zezwolić na wydzieranie sobie młodzieży przez akademickich dyletantów. Trzeba wejść wśród młodzież, przejąć się jej życiem nie tylko naukowym, interesować się tem, co ją interesuje, bez wymagali dla siebie, z jedyną żądzą dobra ogólnego. W ten sposób odpadłyby partye i stronnictwa, a pozostałaby ojczyzna — jedna, wielka i nieszczęśliwa. Na takim wyższym stanowisku już porozumienie łatwo: młodo serca dadzą się pokierować, zdobędzie się ich zaufanie i miłość, przyjdą same po rady i wskazówki.

W chwili obecnej akcja akademicka wśród młodzieży szkolnej wysiła się w tym kierunku, aby w nich wyrobić opinię, że należy walką Polsce niepodległość uzyskać. Powstały w Krakowie dwa związki: jeden rok temu "Promień", drugi bieżącego roku "Znicz", pierwszy niepodległościowo-postępowy, drugi niepodległościowo-umiarkowany i należy oczekiwać z roku na rok wielkiego spotęźnienia tych dwóch związków, gdyż z prowincjonalnych Kółek samokształcenia przybywająca młodzież będzie do jednego z nich przystępowała. Oba te związki odszczepiły się od narodowo-demokratycznego "Zjednoczenia". Oba ono są owocem agitacji wszechpolskiej, apostołującej egoizm narodowy — tylko, że wyższe teorie i myśli, wcielono niewczesnie przez młodzież w życie, mogą narodowi przynieść nieszczęście.

Dla profesorów, którzy chcą być nie tylko nauczycielami, lecz i wychowawcami, odkrywa się powinność uświadamiania młodzieży szkolnej co do patriotyzmu nie spisków, lecz pracy. Ten najlepszy patriota, kto dla ojczyzny najlepiej pracować potrafi. Dziś, jak w r. 1828, jak w 1846, jak w 1861, jak w 1903 trzeba rozróżniać patriotyzm szlachetny i patriotyzm robaczywy. Ten pierwszy z nich pielęgnuje szkoła — i to rozumem przez uszlachetnienie w duszach młodzieży uczucia miłości ojczyzny.

III. Jednakże uszlachetnienia potrzebuje także układ towarzyski młodzieży. Starsi ludzie niejednokrotnie mają sposobność podziwiać niewłaściwe zachowanie się, brak grzeczności, sobkostwo, chciwość na pieniądze, grubiaństwo nawet doroślejszej młodzieży. Ponieważ pozostaje to w związku z ogólną nowożytną kulturą, z wilczą bezwzględnością człowieka względem człowieka, a z drugiej strony z tem u nas zjawiskiem, że szkołę średnią w ostatnich dziesięcioleciach zalała fala ludu i mieszczaństwa, przeto mniemałbym, że trzeba sporo włożyć trudu wychowawczego, iżby przedukować jeśli nie obecne, to przynajmniej przyszłe pokolenie młodzieży.

We Włoszech niedawno powstały związki Pro gentilezza, w Niemczech od trzech miesięcy szerzą się za tym przykładem filie związku berlińskiego *Bund für Höflichkeit*. Jedyną powinnością tych zrzeszeń jest praktyka uprzejmości.

§ 1. Cel: pamiętać o grzeczności w każdym położeniu życia względem każdego człowieka. Jakim chcesz, żeby ludzie byli w stosunku do ciebie, bądź względem nich.

§ 2. Członkiem ligi może być każdy, kto godzi się z celom ligi i chce współdziałać.

§ 3. Jedyne wkład: własna uprzejmość.

§ 4. Niech każdy nosi znak należenia do ligi, aby mu przypominał obowiązek względem ogółu. Wcaleby nie szkodziło u nas wśród młodzieży stworzyć podobną ligę. Za nierównie ważniejszy atoli środek uszlachetnienia towarzyskiego układu uważam podniesienie kultury estetycznej młodzieży w myśl sentencji: *ars mollit mores nec sinit esse feros*.

My, niestety, w niejednym podążamy za Europą w tyle nazbyt wolno, to też i ta kwestya — estetycznego wykształcenia — u nas dopiero świtać poczyna. Posłuchajmy opinii Europy:

— W Anglii — pisze Hartwell Jones — coraz pilniej zwraca się uwagę na estetyczną stronę wychowania. Rysunki od dawna zajmują w niższych klasach wybitne miejsce, w realnych zaś szkołach (*modern Schools*) rysunki zaliczają się do najważniejszych przedmiotów. Muzyka również stanowi przedmiot nauki, szczególnie w wyższych klasach. Większość szkół ma własne chóry i orkiestry. Przedstawienia teatralne i koncerty bywają od czasu do czasu w zakładach urządzone. W Londynie istnieje towarzystwo *The Art for Schools Association*, mające za zadanie zdobić szkoły dziełami sztuki i budzić do tego interes u ogółu.

— My — donosi dr. Axel Jacobsson ze Sztokholmu — ustawicznie dbamy o estetyczne wychowanie młodzieży. Szkoły nasze są to monumentalne, piękne i czyste budowle. Wielu mecenasów daje obrazy i inne dzieła sztuki dla ozdobienia szkół. Śpiewem w szkołach zajmuje się młodzież chętnie. Istnieją orkiestry, urządzą się przedstawienia sceniczne, koncerty i produkcje wokalne.

— Usiłujemy — mówi p. Bazin, dyrektor liceum pod Paryżem — rozwinąć u młodzieży zamiłowanie piękna. Osobliwością liceum jest od lat 14 istniejąca nauka historyi sztuki. Co miesiąc urządzą koncert lub wieczór literacki, na którym bywają obecne rodziny uczniów, a wykonawcami są uczniowie i zaproszeni artyści.

Podobne głosy odzywają się ze Szwajcaryi i z Włoch.

A u nas? Prawda, że rysunki w najnowszych planach uwzględniono i należy oczekiwać z tej nauki znacznego pożytku. Ale gorzej ma się rzecz ze śpiewem i muzyką, nieosobliwie z orkiestrami. Go się tyczy koncertów, to w bieżącym roku usiłowałem za zgodą i zezwoleniem władzy zorganizować w zakładzie szereg koncertów kameralnych dla uczniów. Sił wśród uczniów znalazł się dostatek, niektórzy starsi grają nawet pięknie; ceny wstępu komitet uczniowski ustanowił minimalne. Ponieważ skarżono się, że 15 centów za wstęp — to dużo, spowodowałem zniżenie na 10. Ponieważ nie chodziło o zysk, lecz o pożytek, poleciłem na każdym 10 biletów sprzedanych dawać 5 darmo, byle powiększyć frekwencję. Nie osiągnąłem celu. Nie udało mi się na razie obudzić dla sztuki porywu. Dopiero czas i cierpliwość muszą przyjść z pomocą. A jednak nikt nie odmówiłby zapewne znaczenia i wpływu koncertom muzycznym, łącznie ze śpiewem i deklamacją. Wpływ łagodzący na charaktery i obyczaje, wpływ dobroczynny okazałby się niezawodnie i niezadługo, trzeba by tylko tłum młodzieży na te koncerty skierować, czego mogłaby dokonać zachęta, poparcie i staranie zbiorowe nie jednostkowe. Do tego samego rodzaju pośrednictwa i wmieszania się profesorów w sprawy uczniów należy dozór nad strojem, porządkiem, czystością, uczniów. Wielu z nich przychodzi do kłusy niemytych, o brudnych rękach, paznokciach, w brudnych koszulach i kołnierzach. Zwłaszcza w niższych klasach estetyka stroju i wzięcia się powinna być przedmiotem uwagi nie tylko gospodarza klasy, lecz i każdego profesora. W ton tylko sposób wyrugowałoby się zanieczyszczanie ścian, ławek, katedry, i mnóstwo

nieestetycznych i niesmacznych czynów młodzieży.

W niejakim związku przyczynowym z psychiką obecnej młodzieży są podręczniki. Młodzież, kształcąc nieustannie umysł podług podręczników przez lat kilka, mimowolnie układa go odpowiednio do ich ducha. Nasze zaś podręczniki, nasze instrukcje tworzyły się w okresie reformy przed niespełną trzydziestu laty, w dobie t. zw. u nas realizmu. Stąd pochodzi pierwiastek trzeźwości i krytycyzmu, wypiętnowany na całym systemie nauki i na niektórych — zwłaszcza humanistycznych — podręcznikach. Uczniowie na wyższym stopniu nauki nie umieją zachwycać się i uwielbiać, natomiast wybornie umieją poddawać zjawiska i osoby ostrej krytyce. Znikły ideały, znikł zapał; "Ody do młodości" nikt z młodych nie deklamuje, bo nikt jej nie czuje. Ale za to pojawiają się częste talenty do karykatury i paszkwilów. Szara a nieraz nadgniła atmosfera szkoły, duszne powietrze nad miarę przepelnionych zblazowaną młodzieżą klas, sprowadza nudę (*angoisse*), dręczy i wytrawia wszelki zapał i polot ku szlachetnym uniesieniom serca. Należałoby też zarówno w nowo tworzonych podręcznikach, jak w nauce silniej akcentować nakazy, twierdzenia, walory dodatnie, a rugować z dusz młodych negację, krytycyzm, skłonność do pesymizmu.

Myślę, że do większej kulturalności młodzieży niemało przyczyniłyby się odpowiednio dobrane i udzielane pochwały za obyczajność, zachowanie się, uprzejmość, słowem za wzorową kulturę. Przynosi, to zaszczyt zakładowi, a zwłaszcza jego kierownikowi, jeżeli wprowadził pochwały konferencyjne dla uczniów najlepszych. Taki kierownik rozumie ducha czasu i jego potrzeby. muszę tu zaznaczyć, że nowości ta u nas — nie jest i nie byłaby nowością w Europie. W Anglii w St. Paul's School (West Kensington) istnieją fundacje licznych nagród:

- a) fundacją profesorów: 5 ftów za najlepsze Jamby greckie,
- b) d-ra Sleath, b. dyrektora: 2 ft. 15 szyl. za najlepsze wypracowanie łacińskie,
- c) lorda kanclerza Truro: złoty medal i książki za 15 ftów za najlepsze wypracowanie angielskie,
- d) nagroda Clarkego: 6 ft. za religijny poemat po angielsku,
- e) nagroda b. ucznia Kynaston'a: 7 ft. 10 szyl. za najlepszy postęp w gramatyce,
- f) nagroda Jozuego Bafterworth'a: 3 ft. za najlepszy postęp w angielskiej literaturze, zwłaszcza za znajomość Szekspira i t. d., co roku kilkanaście nagród za różne przedmioty w nauce. Tak samo we Francji istnieje w każdym zakładzie t. z. Conseil de discipline (z profesorów), która przyznaje pochwały uczniom wzorowym i pilnym, a nazwiska ich poleca wpisywać do księgi honorowej (*tableau d'honneur*).

Nie pojmuję, dlaczego nasza szkoła średnia wyróżnia tylko występki i zna nagany, dotąd nie zna pochwał i nagród, a nie wyróżnia zalet i cnót.

Prawda, że wydatnej pracy wychowawczej profesorów u nas stoi na przeszkodzie jedna okoliczność: silne przeciążenie sił nauczycielskich naukową pracą, skutkiem przepelnienia zakładów. W większej części zakładów naszych profesorowie uczą dwa razy większą ilość uczniów, niż gdzieindziej.

W Anglii liczba uczniów bywa przeciętnie w klasie 20 — 25. Trinity College ma 10 — 20 uczniów w klasie. W Danii w szkołach rządowych bywa ogółem od 150 — 200, w prywatnych 200 — 300 uczniów. W jedynej wielkiej prywatnej szkole w Kopenhadze, gdzie 600 uczniów, profesorów jest 49, t. zn. jeden profesor na 12 uczniów. We Francji rozporządzenie ministerjalne normuje liczbę uczniów klasy na 20 — 25. W Sceaux pod Paryżem — jak stwierdza p. Bazin — w r. 1906 było 550 uczniów, ale 50 profesorów t. z. jeden profesor na 11 uczniów. W Bernie szwajcarskiem w zakładzie, gdzie 700 uczniów, uczy 50 profesorów, t. zn. jeden profesor na 14 uczniów. We Włoszech rozporządzeniem ministerstwa unormowano liczbę uczniów na maximum 40 w klasie. Tylko w Hiszpanii, Rumunii, Grecji liczba bywa jeszcze większa, niż u nas — dochodzi

bowiem do 70.

U nas w r. 1908/9 mieliśmy w galicyjskich gimnazyach 30. 000 uczniów i 1450 profesorów t, z. na jednego profesora przypadło 30 uczniów, jak nigdzie. — Wyobraźmy sobie, że nasz profesor przez lat 30 uczy w klasach o podwójnej frekwencji — czyż nie można o nim powiedzieć, że pracował za dwóch ludzi?

Trzeba niespożytej energii, całego wysiłku woli, aby się za prędko nie zetrzeć, aby nie zgorzknąć w tych warunkach, w których władza — gdy się pracuje bez wytchnienia — przyjmuje to w milczeniu i obojętnie, jak rzecz powinną, gdy się zaś o włos od wysiłku roboczego uchyli, napomina. Ten sam system pochwał i nagród, jaki się zaczyna względem uczniów w gronach rozpowszechniać, należałoby szczerzej wymierzać względem profesorów. Na tem nie wyjdzie źle ani szkoła, ani społeczeństwo, gdy władza, jeżeli nie podporą materyalną, to przynajmniej słowem uznania da poznać, że rozumie syzyfowy trud swych białych niewolników. Łatwiej niezawodnie przy zielonym stole krytycznie roztrząsać i osądzać rzekome lub rzeczywiste niepowodzenia w sferze nauki czy wychowania; daleko trudniej utrzymać przez lat dziesiątki zapał w piersiach, sycąc go tylko poczuciem obywatelskich powinności; gdy się mianowicie przez lat dziesiątki dzień po dniu, godzina po godzinie patrzy na to, jak najszczerze intencje, najlepsze pomysły w gruzy i proch się sypią, jedynie dzięki temu, że wciąż ma się przed sobą na ławach tłum, z pięćdziesięciu głów złożony.

Streszczam cały wywód powyższy:

Po pierwsze: Legitymacye i mundury uważam za zewnętrzne środki, mogące na psychologię młodzieży wpływać dodatnio, ale tylko pomocniczo.

Powtóre: Jakkolwiek głosy o zepsuciu młodzieży są przesadzone, to jednak charakter występków głównych może zaniepokoić dbałych o skuteczne wychowanie pedagogów.

Po trzecie: Przyczyny atoli zepsucia tkwią zarówno w społeczeństwie, jak w młodzieży i w celu poprawy należałoby na obie te grupy oddziaływać.

Po czwarte: Poprawa społecznych prądów należy nie do szkoły, lecz do czynników kierujących narodowym życiem.

Po piąte: Szkoła nasza powinna zająć się moralnem wyrobieniem dziecka polskiego obok zadania wyrobienia jego intelektu.

Po szóste: Rzeczą zasadniczą jest, aby profesorowie weszli pośród młodzież, zbliżyli się do niej i w dobrze zrozumianym obowiązku obywateli-Polaków usiłowali: a) podnieść moralno-religijny poziom młodzieży; b) uszlachetnić jej uczucia patryotyczne, wydzierając ją z objęć niepowołanych apostołów; c) wpłynąć na podniesienie układu towarzyskiego i uczuć estetycznych.

Po siódme: Poprawa wychowania, usunięcie gruntowne zepsucia młodzieży, wzrost wpływu wychowawców na wychowanków znajdzie z pewnością niezawodny środek zaradczy w zmniejszeniu frekwencji uczniów, która w ostatniem ćwierćwieczu w dwójnasób u nas wzrosła.

* * *

W Krakowie d. 15 marca 1911 r.

Bartosz Jankowski

Wspólna przeszłość

Przeszłość i historia w mniej lub bardziej bezpośredni sposób kształtują teraźniejszość i przyszłość. Prawidłowość tę możemy zaobserwować zarówno w życiu poszczególnych jednostek, jak i w życiu całych narodów i państw. Nie można w sposób racjonalny i procentowy określić tego, w jaki sposób historia poszczególnych państw i narodów wpłynęła na ich współczesny obraz. W każdym przypadku wpływ ten jest uzależniony od wielu indywidualnych czynników, kształtujących współczesną tożsamość narodową poszczególnych nacji. Przede wszystkim uzależniony jest od wagi przypisywanej przez współczesnych konkretnemu zdarzeniu historycznemu, a także od jego położenia w bardzo często nieświadomie ukształtowanym, swoistym "narodowym rankingu" najważniejszych wydarzeń historycznych i od kształtowanej i odziedziczonej po poprzednich pokoleniach narodowo-subiektywnej interpretacji poszczególnych faktów historycznych. To wszystko sprawia, że jeszcze trudniejszą, prawie niemożliwą zdaje się być odpowiedź na pytanie, w jak znacznym stopniu wspólna przeszłość kształtuje i wpływa na współczesne relacje międzypaństwowe i międzynarodowe. Z pewnością nie pomylimy się jednak stwierdzając, że wpływ ten jest znaczny.

W dziejach polskich najlepszym potwierdzeniem i dowodem wzajemnego przenikania i oddziaływania przeszłości i teraźniejszości, i jego znaczenia w tworzeniu historii narodu są stosunki polsko-litewskie. Ich współczesny obraz bez względu na to czy tego chcemy czy nie, ukształtowany jest przez wspólną tę dalszą i bliższą przeszłość, od której nie da się uciec, odciąć, o której nie można zapomnieć, żyje ona bowiem swoim życiem w świadomości współczesnych Polaków i Litwinów. Wspólna historia, łącząca w sobie zarówno pozytywne i negatywne wydarzenia, tworzyła i zbudowała zbiorową świadomość historyczną współczesnego polskiego i litewskiego narodu. Można wyróżnić dwa główne elementy, procesy historyczne, opierając się na które ta świadomość została zbudowana. Pierwszym z nich są losy powstawania i trwania Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w którym to punktem zwrotnym, najważniejszym, mającym największe znaczenie i wywierającym największe skutki było zawarcie w 1569 r. unii lubelskiej. Drugim zaś, jest proces dziewiętnastowiecznego kształtowania i odradzania się współczesnego narodu litewskiego, którego konsekwencją było powstanie w dwudziestym wieku niepodległej Litwy.

Niestety, zbiorowa historyczna świadomość Polaków i Litwinów budowana na gruncie i w oparciu na te same, następujące po sobie procesy historyczne nie jest identyczna. Odmienność ta wynika bowiem z różnic w postrzeganiu i interpretacji tych samych zdarzeń i faktów historycznych przez obie nacje. Różnice te istniały od początku współpracy polsko-litewskiej, jednak ich charakter i znaczenie dla wzajemnych stosunków zmieniał się w zależności od punktu widzenia i potrzeb poszczególnych jednostek, grup społecznych i od okresu historycznego, w którym tej interpretacji i ocen dokonywano. I tak w pierwszym etapie dziejów polsko-litewskich do upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów w 1795 r. różnice w interpretacji faktów historycznych wynikały z odmiennego postrzegania charakteru i celu wspólnych relacji w ramach jednego państwa. Natomiast w dziewiętnastym i na początku dwudziestego wieku były skutkiem i konsekwencją wykorzystywania wspólnej historii jako narzędzia w budowaniu nowoczesnego litewskiego i polskiego społeczeństwa. Jednym słowem polsko-litewską historię zdominowały i stworzyły różnice. Przed zawarciem unii lubelskiej i do ostatnich dni Rzeczypospolitej Obojga Narodów różnice w poglądach na wspólną przyszłość. Natomiast po jej upadku i na początku dwudziestego wieku różnice w ocenach wspólnej przeszłości.

Od czternastego do osiemnastego wieku osią sporów między Litwinami, a Polakami była odmienna wizja współpracy obu narodów. Upraszczając należy stwierdzić, że przez całe czterysta lat współpracy głównym celem Litwinów była chęć zachowania za wszelką cenę swojej politycznej podmiotowości i narodowej tożsamości. Pragnęli związku z Polską, w którym byliby

równorzędnym partnerem. Takie stanowisko Litwinów można dostrzec już od początku współpracy z Koroną Królestwa Polskiego, którą zapoczątkowano 14 sierpnia 1385 r. podpisaniem aktu unii w Krewie. Na mocy której, Jagiełło w zamian za rękę królowej (króla) Jadwigi i koronę polską zobowiązał się m. in. do przyjęcia chrztu i wprowadzenia kultu w obrządku łacińskim na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego, do odzyskania utraconych przez Litwę i Polskę ziem oraz do "przyłączenia Wielkiego Księstwa Litewskiego do Polski¹. Punktem sporu, najpierw politycznego, a później historycznego, stała się sama treść aktu unii. A konkretnie niejednoznaczny zapis dotyczący zjednoczenia państw. Na jego mocy bowiem Jagiełło "obiecał ziemie swoje Litwę i Ruś do Korony Królestwa Polskiego na trwałe przyłączyć" - "applicare" (terras suas, Lituaniae et Russiae coronae Regni Poloniae perpetua applicare), gdzie słowo "applicare" mogło oznaczać zarówno przyłączyć, ale także włączyć². Ta wieloznaczność jednego słowa stworzyła warunki do odmiennej wręcz sprzecznej, uzależnionej od punktu widzenia i interesów, interpretacji aktu unii, co stwarzało możliwości powstawania prawno-ustrojowych sporów w przyszłości. Polacy stali bowiem na stanowisku, że słowo to oznacza inkorporację Wielkiego Księstwa Litewskiego do Korony, Litwini zaś zgodnie z linią swojej polityki, że tylko zjednoczenie, z jednoczesnym zachowaniem podmiotowości i odrębności politycznej. Należy zauważyć, że takie stanowisko Litwinów na samym początku nie było jednoznaczne, a ukształtowało się na gruncie konfliktu powstałego między Jagiełłą, a jego kuzynem Witoldem. Jak pisze Juliusz Bardach; "Analiza aktu w Krewie potwierdza pogląd, że początkowo Jagiełło z braćmi wyobrażał sobie realizację połączenia Litwy z Polską w postaci inkorporacji"³. Witold natomiast będąc przeciwnego zdania, już po zawarciu unii, doprowadził, w obronie niezależności Litwy, do zbrojnego buntu, w wyniku którego na mocy tzw. Ugody ostrowieckiej z 1392 r. objął pełnię władzy w Wielkim Księstwie Litewskim⁴. Jej kompromisowy charakter wynikał z niezmiennego stanowiska Jagiełły wobec samej idei unii, który mimo litewskiego sprzeciwu i braku jednomyślności widział potrzebę jej trwania i pamiętał o nadrzędnych celach, dzięki którym doszło do jej zawarcia.

W tym miejscu należy dodać, że unia została zawarta nie tylko dzięki wielu zbiegom okoliczności, takim jak choćby wygaśnięcie w Polsce piastowskiej i andegaweńskiej dynastii, ale przede wszystkim dzięki woli politycznej obydwu narodów, wynikającej z zewnętrznej i wewnętrznej sytuacji geopolitycznej. Sprowadzającej się głównie do wspólnej walki z Zakonem Krzyżackim, Wielkim Księstwem Moskiewskim, a także do chęci wspólnego zagospodarowania ziem ruskich i rozwoju kontaktów handlowych⁵. Jak podkreśla prof. Marcei Kosman "Można powiedzieć (...) jedno: porozumienie Krakowa z Wilnem w 1385 r. świadczyło o mądrości politycznej jego uczestników a zwłaszcza inicjatorów"⁶. Dla Litwinów było ponadto kontynuacją, zapoczątkowaną przez koronację Mendoga w 1253 r. na króla Litwy i jego chrzest w obrządku łacińskim w 1251 r., prozachodniej polityki państwowej. Po zawarciu ugody ostrowieckiej Witold okazał się jednak niezbyt lojalnym partnerem Korony. W zamian za obietnicę pomocy w walkach z Tatarami i Rusią w 1398 r. odstąpił Zakonowi Krzyżackiemu Żmudź. Jednak na szczęście w bitwie z Tatarami pod Worskłą w 1399 r. poniósł klęskę i z powrotem zaczął z nadzieją spoglądać w kierunku Polski. Zacieśnienie kontaktów między dwoma państwami przypieczętowała kolejna unia wileńsko-radomska zawarta w 1401 r. Jest ona dowodem kompromisu nadal panującego między Jagiełłą, a Witoldem. Witold, w jej świetle, pozostawał nadal Wielkim Księciem (Magnus Dux), panującym dożywotnio nad politycznie samodzielną Litwą, ale panował pod zwierzchnictwem króla Władysława, który odąd nosił tytuł Najwyższego Księcia (Supremus Dux).

Na dalsze zacieśnianie współpracy nie trzeba było długo czekać. Dwanaście lat później w 1413 r. zewnętrzne zagrożenie ze strony Zakonu Krzyżackiego jeszcze bardziej zbliżyło litewską Pogoń i polskiego Orła. Zawarto unię w Horodle, która jest najlepszym dowodem tego, że najlepiej i najtrwalej, mimo znacznych różnic kulturowych, społecznych, czy językowych mogą złączyć wspólni wrogowie. Unia ta stała się na przeszło półtora wieku podstawą więzi między Polską, a Litwą. Ostatecznie potwierdziła polityczną samodzielną i podmiotową Wielkiego Księstwa. Ponadto ustalała także, że po śmierci Witolda Litwini w porozumieniu z Koroną dokonają wyboru nowego władcy, oraz, że wszystkie istotne dla obu stron sprawy będą omawiane wspólnie. Unia

zapoczątkowała także ustrojowe zmiany na Litwie, wprowadzając na wzór polski niektóre instytucje i urzędy państwowe, np.: starostów, kasztelanów, wojewodów. Ponadto na jej mocy w poczet polskiej szlachty zostało przyjętych i obdarowanych polskimi herbami czterdzieści siedem bojarskich, katolickich rodzin. Jednak należy podkreślić, co jest bardzo ważne, że wzory polskie nie były ślepo przenoszone, kopiowane na grunt litewski. Jak podkreśla litewski historyk Edvardas Gudavičius "...polskie instytucje i ich prerogatywy stały się przykładami do naśladowania. Określiły one w zasadniczym stopniu rozwój litewskiego modelu państwowego, jednak ich przyjęcie i zastosowanie odbywało się zawsze przy uwzględnieniu racji i potrzeb litewskiej elity politycznej. To zaś warunkowało wyraźny, a jednocześnie łagodny zwrot, celowe, ale starannie dopasowane do posiadanych możliwości naśladownictwo"⁷. Taka postawa jest niewątpliwie dowodem tego, że Litwini i na tym polu pragnęli zachować własną niezależność.

Jest rzeczą oczywistą, że akt z 1413 r. nie rozwiązał wszystkich problemów stojących na drodze do budowy trwałego związku między obydwoma państwami. Potwierdził jednak, już kolejny raz to, że chęć budowy tego związku nie była narzucona siłą, ale wynikała ze społecznie akceptowanej potrzeby współpracy. Potwierdzeniem tej społecznej akceptacji jest trwanie unii przez następne dziesięciolecia, mimo jej formalnego wygaśnięcia, wraz ze śmiercią jej niekwestionowanego ojca, króla Władysława. Po jego śmierci na tronach obsadzono jego synów, w Wilnie Kazimierza, a w Krakowie Władysława, a potem także wnuków: Jana, Aleksandra, Zygmunta.

W tym miejscu należy zauważyć, że pierwsze dziesięciolecia niełatwej przecież przyjaźni nie tylko stały się podstawą dalszej politycznej współpracy, ale także stały się gruntem, na którym wyrosły późniejsze stereotypy. Najlepszym przykładem na to, jak od początkowej różnicy zdań może dojść, wraz z upływem czasu, do powstania nie dającego się wyrugować z narodowej świadomości stereotypu w naszej historii są postacie króla Władysława Jagiełły i księcia Witolda. W tym przypadku bezdyskusyjną podstawą do ich powstania były fakty historyczne, a mianowicie prowadzona przez nich polityka. Jest rzeczą najzupełniej oczywistą, że Jagiełło, prowadząc swoją ugodową, w rozumieniu swych rodaków, politykę wobec Polski, mimo wielu pozytywnych jej skutków, nie mógł zaskarbić sobie miłości i wdzięczności szlachty litewskiej. Przedstawiciele stanu szlacheckiego, obarczając go odpowiedzialnością za całokształt polityki Wielkiego Księstwa zaczęli utożsamiać go z jej negatywnymi skutkami. Mając z jednej strony "złego" księcia Władysława, Litwini zaczęli szukać oparcia w człowieku mającym inną wizję przyszłości ich państwa. Wizję, w której, jak tego chcieli, Litwa będzie nadal podmiotem, samodzielnie podejmującym decyzje, a nie przedmiotem decyzji podejmowanych przez innych. Człowieka, reprezentującego podobny sposób myślenia nie musieli długo szukać, odnaleźli go w "zbuntowanym" Witoldzie. W tym miejscu nie miały większego znaczenia motywy kierujące polityką Witolda, tj. przede wszystkim chęć zdobycia przez niego władzy na Litwie dla siebie i tylko dla siebie, ani to, czy obawy przed zarzucaną Jagielle polityką polonizacyjną były uzasadnione. Najważniejsze było to, że Witold miał różną od Jagiełły wizję litewskiej przyszłości, i że próbował ją realizować. Różnice w ocenie obu postaci z biegiem lat i w związku ze zmieniającymi się okolicznościami zaczęły się pogłębiać. Witold, obrońca litewskiej tożsamości, już w szesnastym stuleciu był przez Litwinów powszechnie uważany za litewskiego patriotę, za symbol litewkości. Dzięki czemu w historiografii litewskiej "dorobił" się przydomku "Wielki", a czasy jego zaczęto określać złotym wiekiem. W Drugim Statucie Litewskim z 1566 r. Witolda (...) przedstawiono (...) jako wyzwoliciela Litwy (...), najwybitniejszą postać, Jagielle zostawiając miejsce w gruncie rzeczy pozytywnie ocenianego władcy w ogólnym szeregu władców Litwy"⁸. Polacy, jak łatwo się domyśleć mieli inną wizję historii, dlatego doszło do swoistej dyskusji. I tak w wydanej w siedemnastym wieku "Historii Litwy" Wojciecha Wijuka Kojalowicza, w której wpływ polskiego sposobu myślenia jest bardzo widoczny. Jagiełło "wysuwa" się przed swojego kuzyna, który już nie jest apostołem Żmudzi, a ponadto nie wygrywa bitwy pod Grunwaldem, która jest już tu tylko polską victorią. Prowadzona przez wiele lat polemika historyczna, w gruncie rzeczy niegroźna, swoje apogeum osiągnęła w dziewiętnastym wieku, gdzie jej główne wątki posłużyły do tworzenia nacjonalistycznej propagandy i do utrwalania się groźnych stereotypów. Czołowy przywódca młodych litewskich,

dziewiętnastowiecznych nacjonalistów, twórca litewskiej tożsamości narodowej Simonas Daukantas w "Czynach dawnych Litwinów i Żmudzinów" przyznawał Witoldowi centralne miejsce w całej historii narodu, przedstawiał go "jako wyzwoliciela Litwy od Polaków, sprowadzonych przez Jagiełłę"⁹. A w "Historii żmudzkiej" pisał: "Nigdy Litwa nie była ani większa, ani poważniejsza, niż kiedy Witold panował, mąż pilny, przebiegły i żądny władzy"¹⁰. Poprzez propagowanie takich poglądów na początku dwudziestego wieku "w wizji historycznej kraju Jagiełło był wcieleniem zdrady (...) i zapoczątkowanego upadku, Witold natomiast - wielkości dziedzictwa historycznego"¹¹. Światopogląd Litwinów ukształtowany przez dziewiętnastowieczną demagogię doprowadził w dwudziestym wieku do farsy. Litwini w 1934 r., w pięćset lat po śmierci króla Władysława urządzili mu w Koszedarach proces, podczas którego obwinili go za wszelkie narodowe nieszczęścia i wymazali go ze swej historii, Witoldowi Wielkiemu zaś stawiali pomniki¹². To wydarzenie pozwala uzmysłwić sobie jak wielki wpływ ma historia, subiektywna wizja własnej historii, w kształtowaniu narodowej świadomości. Jest przykładem tego jak mocno mogą się w zbiorowej pamięci utrwalić kształtowane przez pokolenia, przedstawiające rzeczywistość w sposób uproszczony i schematyczny, stereotypy. Stereotypy, w tym konkretnym przypadku, niestety, żywe do dzisiaj. Na Litwie w zamku w Trokach obok Giedymina, Olgierda, Kiejstuta i Witolda próżno szukać portretu Jagiełły, nie mówiąc już o późniejszych monarchach wspólnego państwa¹³. Oczywiście nie oznacza to wcale, że Polacy w utrwalaniu negatywnych stereotypów nie są bez winy. Polocentryczną wizję własnej historii przedstawili na taśmie filmowej. W nakręconych w 1960 r. "Krzyżakach" Aleksandra Forda, delikatnie mówiąc zbagatelizowali znaczenie Litwinów, a przede wszystkim Witolda w bitwie pod Grunwaldem, którą w filmie Jagiełło wygrał sam. Jak wspomina Tomas Venclova, film wzbudził na Litwie wielkie zainteresowanie, ale stał się również przyczyną powstania wielu skrajnych poglądów, w świetle których ponownie odżyły litewskie obawy przed polskim rewizjonizmem. Emocje były tak wielkie, że gdy jeden z uczestników publicznej dyskusji, chciał uspokoić nastroje stwierdzając, iż w zasadzie nie ma żadnej różnicy kto w filmie Forda zwyciężył pod Grunwaldem, bo i tak obaj byli Litwinami, to spotkał się z powszechną krytyką, został zbesztany i zakrzyczany¹⁴.

Historię tego stereotypu, powstałego, w gruncie rzeczy, z tak błahych przecież powodów, można by niejako przełożyć na całą polsko-litewską historię i jej dramaty. Właśnie poprzez takie zjawiska i elementy stała się ona tak trudną do zrozumienia i do pozbawionej emocji oceny. Niewątpliwie jednak dyskusja na jej temat współczesnych Polaków i Litwinów może bardziej zbliżyć niż oddalić. A z nadzieją w przyszłość, pozwalają patrzeć choćby takie poglądy jak ten, dotyczący Jagiełły i próby zrozumienia jego znaczenia w historycznej świadomości Polaków, a wyrażony przez Gintarasa Beresnevičiusa: "Dopiero kiedy zobaczyłem sarkofag Jagiełły i poczułem, z jaką uczciwością i szacunkiem Polacy mówią o Jagielle, zdałem sobie sprawę, kim on jest dla Polski. To oś jej historii. On, a nie Piastowie czy Mieszko. Sarkofag Króla to dla Polski fundament fundamentów. To jednocześnie wieczny puls Litwy w samym sercu Polski"¹⁵.

Wracając jednak do historycznej chronologii należy wspomnieć o fakcie, który miał miejsce ponad półtora wieku po zawarciu unii w Horodle. W Lublinie, w 1569 r. doszło do najważniejszego wydarzenia w całych dziejach polsko-litewskich kontaktów, do zawarcia unii realnej między Koroną Królestwa Polskiego, a Wielkim Księstwem Litewskim. Głównymi aktorami długiego procesu, który doprowadził do tego wydarzenia była szlachta. "Aż do lat sześćdziesiątych XVI wieku inicjatywy w kierunku zacieśnienia związku Polski z Litwą wypływały z reguły od strony polskiej"¹⁶. Inicjatywa Polaków wynikała z prostego faktu. Mianowicie szlachta polska, która już w piętnastym wieku wyodrębniła się ze społeczeństwa jako samodzielny stan, potrafiła wywierać większy wpływ na życie polityczne w swoim kraju, niż Litwini w Wielkim Księstwie Litewskim. Wpływ ten przejawiał się choćby w postulowanym przez szlachtę od lat trzydziestych szesnastego wieku szlacheckim programie egzekucji praw i dóbr, w którym obok propozycji przeprowadzenia wielu ustrojowych reform jedno z najważniejszych miejsc zajmował postulat zacieśnienia związków polsko-litewskich. Litwini zaś, "obudzili" się dopiero za panowania Zygmunta Augusta, kiedy to brać szlachecka dostrzegła w unii szansę na uniezależnienie się od oligarchicznie

sprawującej władzę magnaterii. Po prostu Litwinów skusiła możliwość posiadania tych samych i takich samych, przywilejów i praw politycznych z jakich korzystali i jakimi cieszyli się, od dłuższego czasu, Polacy. Jest rzeczą oczywistą, że to "przebudzenie" nie spotkało się z entuzjastycznym poparciem litewskiej magnaterii. Początkowo również nie popierał go dziedziczny, wierny promagnackiej polityce swych przodków, władca Litwy, Zygmunt August. Ale to właśnie dzięki jego woli, i jego politycznej metamorfozie, w wyniku której na sejmie piotrkowskim w 1562 r. "zerwał" odwieczny sojusz z magnaterią i poparł reformatorskie postulaty polskiej szlachty, proces zjednoczenia uległ przyspieszeniu. Także na Litwie w tym samym roku "... szlachta zgromadzona na sejmie obozowym pospolitego ruszenia litewskiego pod Witebskiem, zawiązała konfederację i uchwaliła (13 sierpnia) akt, który jej posłowie (...) zawieźli do obecnego w Wilnie króla. W akcie tym skonfederowani zwracali się do Zygmunta Augusta, "aby król jm. złożyć raczył sejm wspólny z pany Polaki i unia, aby była w jedności. Najwięcej dla dwóch przyczyn, to jest dla obierania jednego pana (...) i dla jednej a wspólnej obrony, abyśmy spólnie sejmowali praw i wolności z nami za równo jednakich używali"¹⁷. Potwierdzili jednocześnie swoją starą polityczną linię, bowiem "... akt wypowiedział się (...) w sposób zupełnie jasny, że unia nie może oznaczać zniszczenia odrębności Litwy. Szlachta litewska życzyła sobie wspólnoty politycznej z Polską, lecz pod żadnym pozorem nie godziła się na wcielenie swojej ojczyzny do korony"¹⁸. Przy tak pozytywnym nastawieniu monarchy i szlachty zawarcie unii było tylko kwestią czasu. Przyspieszyło je również wiele dalszych ustrojowych zmian na Litwie, np.: utworzenie sejmików ziemskich w 1565 r., czy nadanie Litwie przez monarchę, będącego kodyfikacją prawa Drugiego Statutu Litewskiego w 1566 r., a przede wszystkim zrzeczenie się w 1564 r. przez króla swych praw do sukcesji na Litwie i przekazanie ich na rzecz polskiej Korony, czego nawiasem mówiąc Litwini nie mogli mu wybaczyć, woleliby, aby przekazał je im. Nie bez znaczenia była także sytuacja międzynarodowa. Kolejny już raz obie strony zbliżyło do siebie zagrożenie zewnętrzne. Tym razem płynące ze strony Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, które pod panowaniem Iwana IV Groźnego zaczęło proces "zbierania i łączenia ruskich ziem", ziem, których przecież większość znajdowała się w granicach litewskich. Do zakończenia procesu zjednoczeniowego doszło na sejmie lubelskim w 1569 r.

Sejmy, bowiem Polacy i Litwini nadal obradowali jeszcze osobno, w zasadzie zaczęły już obradować w grudniu 1568 r. Przez cały czas obrad starano się wypracować kompromis między unitarną, (Polacy), a federacyjną (Litwini) wizją przyszłego państwa. Zanim się to powiodło to Litwini nie usatysfakcjonowani przebiegiem obrad 1 marca 1569 r. opuścili Lublin. Ta obstrukcja i dezaprobata ze strony ziomków nie spodobała się Zygmuntowi Augustowi, który aby zmusić ich do powrotu, wbrew interesom litewskiej magnaterii, w kolejnych dekreтах przyłączył do Korony: Podole, Wołyń i Kijowszczyznę. Decyzja ta zaskoczyła panów litewskich, ale zgodnie z przypuszczeniami króla spotkała się z przychylnością szlachty zamieszkującej te ziemie, której przedstawiciele zaczęli powracać do Lublina. Nie widząc innego wyjścia, cały sejm litewski, ale bez znaczniejszych magnatów z początkiem czerwca wznowił obrady. Na rezultat wspólnych prac nie trzeba było długo czekać. Pierwszego lipca 1569 roku, w piątek, Zygmunt August dokonał zaprzysiężenia aktu unii "lubelskiej" i tym samym zapoczątkował nowy rozdział w dziejach dwóch państw i narodów. W akcie zapisano: "Iż już Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nierozne ciało, a także nierozna jest jedna a spolona Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła. A temu obojemu narodowi, żeby już wiecznymi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden krol spolny rozkazywał(...). Sejmy i Rady ten oboj naród ma zawsze mieć spolne koronne pod krolem polskim, panem swym"¹⁹. Mimo tego zapisu, który w gruncie rzeczy tworzył jedno państwo Litwini osiągnęli kompromis, nie stracili swojej podmiotowości. Stało się tak dlatego, że "zapis o niepodzielnym i jednolitym ciele państwa miał charakter deklaracyjny i w istocie został zanegowany przez dalsze paragrafy umowy zachowujące dualizm państwowy"²⁰. Znalazły się w nich zapisy o tym, że Litwini zachowują nadal nazwę swojego państwa, własny system prawa sądowego, skarby, wojsko, urzędy.

Kronikarz, cytowany przez Jasienicę zanotował: "Nigdy w dziejach odrębne narody nie zawarły

trwalszego ślubu przy mniejszym zastosowaniu nacisku. Stało się to wedle życzenia setek tysięcy, z ujmą tylko dla garści uprzywilejowanych i dla ich pychy²¹. Wbrew pozorom Polacy i Litwini nie rzucili się sobie w objęcia, byli delikatnie mówiąc nieufni wobec siebie. Czego najlepszym dowodem są słowa Prokopa Bartłomiejowicza: "miłujmy się jak bracia, a każdy swego pilnuy..."²². Ponadto Litwini nigdy Polakom nie wybaczyli strat terytorialnych, które postrzegali jako największą swoją przegraną i klęskę. "W końcu lipca 1569 roku wojewoda wileński i kanclerz wielki litewski nazwał unię " pogrzebem, a zgładzeniem na wieczne czasy wolnej, a udzielnej Rzplitej niegdy Wielkiego Księstwa Litewskiego"²³. Najwięcej pretensji jednak mieli do Zygmunta Augusta. W liście pisanym 15 lipca 1572 r. do Radziwiłła Rudego, a więc już po śmierci króla czytamy: "Pan Nasz (...) nie miał ani kropli polskiej krwi, jeno litewską i włoską. Ale to, że otrzymał polskie wychowanie, Litwa bardzo boleśnie odczuwa i, jeśli się Bóg nie zmiłuje, jeszcze odczuwać będzie"²⁴. I odczuwała przez następnych dwieście lat. We wzajemnych relacjach nie było większych zmian niż przed unią. Polacy chcieli rozumieć ją i widzieli w niej akt zjednoczenia obu państw, a Litwini zaś podkreślali, że Rzeczpospolita Obojga Narodów to związek dwóch niezależnych, samodzielnych, równych wobec prawa państw i narodów. Co ciekawe do rozbiorów Rzeczpospolitej nigdy, za wyjątkiem przypadku z 1655 r., kiedy to w czasie "potopu szwedzkiego" książę Janusz Radziwiłł przyłączył Wielkie Księstwo Litewskie do Szwecji, sama idea unii nie została podważona²⁵. Przywiązanie do tej idei i do federacyjnego ustroju państwa było tak wielkie, że gdy w tekście Konstytucji 3 Maja, zgodnie zresztą z poglądami króla Stanisława I Augusta, który opowiadał się za unitarnym ustrojem państwa, nie znalazła się nazwa Rzeczpospolita Obojga Narodów, a jedynie Polska to Litwini chcąc reform ustrojowych poparli ją, ale już 20 października tego samego roku zgłosili protest. W ich imieniu marszałek konfederacji litewskiej Kazimierz Nestor Sapieha przekazał sejmowi dokument o nazwie Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów. W akcie tym, jak się później okazało był to już ostatni akt wydany wspólnie przez Polskę i Litwę, a traktujący o ustroju kraju, który ze względu na potrzebę kompromisu, uzyskał poparcie króla, potwierdzono jeszcze raz dualistyczny model państwa i zagwarantowano polityczną suwerenność i równość Wielkiego Księstwa w relacjach z Koroną Polską²⁶.

Niestety twórcom reform nie było dane długo cieszyć się swoim sukcesem. Niecałe cztery lata później w 1795 r. po upadku państwa, po jego trzecim rozbiore i po abdykacji Stanisława I Augusta, realizacja wielkiej idei unii jagiellońskiej, choć nadal żywa w umysłach ludzi nie była już możliwa. Rozpoczął się nowy wiek i etap w historii dwóch narodów. Wiek dziewiętnasty, w który Polacy i Litwini wkraczali "jako sprzeczący się od czasu do czasu bracia"²⁷, a opuścili jako najzgorzalsi wrogowie. Wiek, w którym powstały dwa odrębne narody, w którym nacjonalizm zwyciężył nad tradycją długoletniej współpracy. Powodów, dla których tak się stało, jest wiele i nie sposób je wszystkie wyjaśnić. Głównie wiążą się one z przeszłością i z pewnym jej paradoksem. Mianowicie ze zjawiskiem polonizacji, która to pod koniec stulecia stała się powodem do dyskusji i do konfliktu, z którego narodziły się nacjonalistyczne stereotypy.

Litwini przez cały czas, obawiając się o swoją tożsamość, sprzeciwiali się prawno-ustrojowemu zjednoczeniu. Zjednoczenie takie jednak nastąpiło, niejako "tylnymi drzwiami", ale nie na płaszczyźnie prawno-ustrojowej, a kulturalnej. W jego wyniku, jak pisze Vincas Trumpa "... dwa całkowicie różne etnicznie narody zbliżyły się do siebie do tego stopnia, że ich wzajemne relacje łatwiej opisać terminami ze sfery cielesności niż z języka prawniczego, (...) stawały się coraz bardziej "jednym ciałem" i "jednym narodem", jak się tego domagała unia lubelska; ciało to zaś coraz bardziej stawało się Polską, a naród - polskim narodem"²⁸. Działo się tak dlatego, że kultura polska, stojąca w czternastym wieku na wysokim poziomie, była dla Litwinów po prostu atrakcyjna.

I odegrała taką rolę wobec Litwy, jaką w dziesiątym wieku kultura niemiecka wobec Polski. Przekazywana za pośrednictwem Polski zachodnia "cywilizacja oddziaływała i była przyjmowana jako sposób życia, z którego wynika pojmowanie także samego życia i jego poszczególnych dziedzin"²⁹, ponadto była utożsamiana z prestiżem. Poza tym tej dobrowolnej polonizacji sprzyjało to, że już od dawna Litwini mieli kontakt z kulturą słowiańską, ruską. Było tak dlatego, że

większość mieszkańców księstwa to byli Rusini.

W związku z tym już w czternastym wieku to ruski, a nie litewski był językiem oficjalnym państwa. Mówiła w nim nie tylko szlachta i magnateria, ale także, np.: była w nim prowadzona korespondencja kancelarii księcia Witolda. "Polska kwitnie łacinoju, Litwa kwitnie ruseczynoju"³⁰, głosiło czternastowieczne powiedzenie. To też, aby zapobiec dalszemu zruszczaniu, Litwini nie tylko przyjęli chrzest z rąk Polski, ale tak chętnie się polonizowali.

Proces ten był więc naturalną konsekwencją rozwoju społeczeństwa litewskiego.

I choć Litwini zdawali sobie z tego sprawę to nie sprzeciwiali się temu zjawisku. W liście księcia Janusza Radziwiłła z 1615 r. do brata Krzysztofa, hetmana polnego czytamy: "Aczem sam Litwinem się urodził i Litwinem umrzeć mi przyjdzie, jednak idioma polskiego zażywać w ojczyźnie naszej musimy"³¹.

W kształtowaniu się narodowej świadomości Litwinów doszło bowiem do kolejnego paradoksu. Litwinem był ten kto mieszkał w Wielkim Księstwie Litewskim, niezależnie czy jego pochodzenie było polskie, litewskie, białoruskie, czy jakiegokolwiek inne. Polakiem zaś był mieszkaniec Rzeczypospolitej Obojga Narodów, niezależnie od tego, czy mieszkał w Koronie czy na Litwie. Tedy mieszkaniec Wielkiego Księstwa Litewskiego był Litwinem, jednocześnie będąc Polakiem. Potwierdzenie takiego stanu rzeczy odnajdujemy u Adama Mickiewicza, jak pisze Gintaras Beresnevičius jedyne Litwina, któremu wybaczymy jego polskość³². Mickiewicz oddając nastroje narodowościowe panujące na początku dziewiętnastego wieku w Księgach Pielgrzymstwa pisał: "Litwin i Mazur bracia są; czyż kłócą się bracia o to, iż jednemu na imię Władysław, drugiemu Witold? Nazwisko ich jedno jest: nazwisko Polaków"³³. Mało tego, polskość Wielkiego Księstwa Litewskiego w pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia była tak żywa i naturalna w świadomości jego mieszkańców, że proces polonizacji nadal trwał. Sprzyjała temu choćby przymusowa rusyfikacja. Litewski stał się językiem zakazanym, wobec czego większość szlachty czytała i modliła się po polsku. Po polsku, także upatrując w tym podniesienia swego statusu społecznego, zaczęło mówić po zniesieniu pańszczyzny litewskie chłopstwo. Przekładało się to na działania polityczne, w powstaniu listopadowym wszyscy walczyli o wspólną Polskę. Czego dowodzi, np. akt wybuchu powstania: "Chcemy i za swą powinność uważamy stworzyć wespół z Polską jeden naród i siłę, i jedną się kierować konstytucją"³⁴.

Proces ten pewnie trwałby dalej, gdyby nie młodzi wykształceni, pochodzący z chłopstwa Litwini, którym zaczęło zależeć na współczesnym litewskim narodzie. Powstający na Żmudzi ruch lituanistyczny postanowił odbudować swój naród i budować świadomość narodową w oparciu na zachowany litewski język i kulturę". Jego pionierzy przekształcając kulturę ludową w narodową, litewską i, co trzeba podkreślić litewskojęzyczną, (...), zwrócili się przeciw wszechobecnej kulturze polskiej. Potępili związek z Polską, którą obciążyli winą i za klęskę polityczną i polskojęzyczny kształt swojej kultury"³⁵. Narbutt w swojej "Historii narodu litewskiego", na grobie Zygmunta Augusta "łamał" swoje pióro, bowiem wraz z jego śmiercią, w jego rozumieniu, dobiegał kres historii Księstwa Litewskiego³⁶. Wspominany już Daukantas pisał o wtargnięciu Polaków na Litwę, o wykorzystywaniu Litwinów przez Polaków i o ich przymusowej polonizacji³⁷.

Początkowo Polacy bagatelizowali cały problem. Uważali go za przejaw młodzieńczego buntu. Dla Warszawy Litwa była tylko odległą prowincją, a dążenia nacjonalistyczne, które tolerowano, traktowano jako regionalizm. Sytuacja zmieniła się, gdy litwomani zaczęli monopolizować historię Wielkiego Księstwa Litewskiego i gdy oficjalnie, na przykład na łamach wydawanego w Prusach po litewsku, od lat osiemdziesiątych, czasopisma "Audra" (Jutrzenka), zaczęto negować polskość Litwy i całą wspólną przeszłość, a ludzi zaczęto dzielić, kierując się etnologią na prawdziwych, mówiących po litewsku Litwinów i tzw. "spolonizowanych". Nawiasem mówiąc pogląd, że Litwę zamieszkuje nie Polacy, a spolonizowani Litwini będzie odgrywał dużą rolę w polityce narodowościowej Litwy niepodległej w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Taki podział społeczeństwa wymusił na mieszkańcach byłego księstwa potrzebę samookreślenia i polaryzację

społeczeństwa, co przyspieszyło rozwój nacjonalizmu i ułatwiło powstawanie, i utrwalanie stereotypów.

Spór zaostrzył się, gdy przestał być li tylko narodowościową przepychanką i dyskusją a stał się w czasie pierwszej wojny światowej politycznym i międzynarodowym konfliktem. Każda ze stron miała w tym czasie dwie koncepcje odbudowy niepodległości. Litewskie można by nazwać koncepcjami Litwy kulturalnej i Litwy cywilizacyjnej. Według pierwszej z nich "granice kulturalnej Litwy wyznaczała mowa litewska. (...) Litwa powinna stać się ściśle narodowa, zdominowana zdecydowanie przez Litwinów,(...) monoetniczna" 38.

Według tej drugiej koncepcji, koncepcji cywilizacyjnej Litwa miała być państwem demokratycznym, wielonarodowym i wielokulturowym. Niestety na gruncie powstałych w XIX wieku stereotypów, mówiących o przymusowej polonizacji, wynarodowieniu, i dzięki utrwalonym już nacjonalistycznym poglądom, zwyciężyła ta pierwsza. W Polsce również istniały dwa różne poglądy na temat wizji przyszłej współpracy. Najogólniej rzecz biorąc pierwsza z nich, kojarzona z nazwiskiem J. Piłsudskiego, sprowadzała się do odbudowania, jeszcze żywej w umysłach ludzi, idei unii jagiellońskiej w postaci federacji niepodległych państw. Druga, odpowiadająca poglądom Romana Dmowskiego sprowadzała się do postulatu odrodzenia Rzeczypospolitej w granicach sprzed 1772 r., czyli sprzed pierwszego rozbioru, bez uwzględnienia niepodległościowych dążeń powstałych na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego w XIX wieku trzech narodów.

Po zakończeniu wojny, gdy przyszedł czas na politykę, obie strony usztywniły swoje stanowiska. Polacy zgadzali się na powstanie niepodległej Litwy, ale tylko w jej ścisłych etnograficznych granicach, czyli bez Wilna. Litwini natomiast nie tylko nie wyobrażali sobie Litwy bez Wilna, ale także wysunęli pretensje wobec Lidy, Grodna, Suwałk i Białegostoku, gdzie byli mniejszością. W tym miejscu należy dodać, że według spisu ludności z 1897 r., w Wilnie Litwini stanowili 2% ludności, a Polacy 31%³⁹. W pierwszych latach powojennych, 1919 - 1920 Wilno i Wileńszczyzna, które stały się w stosunkach polsko - litewskich przysłowiową iskrą na beczce prochu, ukoronowaniem i ucieleśnieniem stereotypów i wzajemnych urazów przechodziły z rąk do rąk. I tak, pod koniec wojny, w grudniu 1917 r., pod panowaniem Niemców, Litwini ogłaszają niepodległość i powołują Litewską Krajową Radę (Tarybę). Niemcy jednak jej nie uznają. Zmieniają zdanie i w obliczu klęski; zgadzają się na ogłoszenie przez Litwinów niepodległości, dzieje się to 16 lutego 1918 r. Mimo początkowych, udanych rozmów Litwini powołują pierwszy rząd dopiero jesienią, już po klęsce Niemiec. W grudniu, gdy rząd litewski przeniósł się do Kowna, Polacy na krótki czas zajęli Wilno, musieli jednak uciekać przed Armią Czerwoną. Podobna sytuacja powtórzyła się w kwietniu 1919 r., gdy Polacy ponownie, po pięciu dniach walki zajmują Wilno i Wileńszczyznę, ale i tym razem muszą się wycofać przed naporem zmierzającej w kierunku Warszawy, niosącej Europie wielkie hasła Rewolucji Październikowej, Armii Radzieckiej. Która to w swej łaskawości, za możliwość przemarszu przez terytorium Litwy obiecała Litwinom nie tylko Wilno, ale nawet Suwałki.

Sytuacja Polaków na arenie międzynarodowej uległa poprawie po sierpniowym zwycięstwie J. Piłsudskiego nad bolszewikami w 1920 r. Wtedy to J. Piłsudski nie wyobrażając sobie Polski bez Wilna decyduje się na przeprowadzenie zakamuflowanej pod nazwiskiem gen. Ł. Żeligowskiego aneksji miasta. W wyniku tzw. "buntu Żeligowskiego", przeprowadzonego 8 października 1920 r. Już następnego dnia całe Wilno, wraz z Wileńszczyzną znalazło się pod polskim panowaniem. Tym samym zrodził się największy punkt niezgody między Polską, a Litwą, który zdominował cały okres międzywojenny.

Charakter tych stosunków w znakomity sposób oddaje fotografia z okładki książki Piotra Łossowskiego pt.: "Stosunki polsko-litewskie 1921-1939", wydanej w Warszawie w 1997 r.. Znajduje się na niej zniszczony, porośnięty trawą tor kolejowy. Ten tor w wymowny sposób symbolizuje polsko-litewską więź, kiedyś tak mocną, ugruntowaną w przestrzeni geopolitycznej, a w okresie międzywojennym zniszczoną, jakby zaoraną, ale mimo wszystko jeszcze widoczną.

Nie jest bowiem prawdą, jak powszechnie się dziś sądzi, że po zajęciu przez Polskę Wilna wszelkie kontakty między państwami zostały zerwane. Wręcz przeciwnie "dla Polski sprawa stosunków z Litwą była ważna. Był od niej uzależniony pomyślny rozwój współpracy z pozostałymi państwami bałtyckimi, czy nawet w ogóle aktywność polska w regionie Bałtyku(...) Można śmiało powiedzieć, że sprawy litewskie zabierały znacznie więcej czasu i uwagi, aniżeli mogłoby to wynikać z rozmiarów i faktycznej siły sąsiada litewskiego.

Dla Litwy stosunki z Polską były problemem numer jeden w polityce zagranicznej. (...) Mając na względzie stosunki z Polską, rząd litewski kształtował swoją strategię bezpieczeństwa i polityki zagranicznej, szukając pomocy i oparcia w Niemczech i Związku Radzieckim"⁴⁰

Jest natomiast prawdą, że po zajęciu przez Polaków Wilna bardzo trudno było nawiązać jakiegokolwiek stosunki. Polacy pragnęli prowadzić rozmowy z Litwinami, i budować przyjazne, sąsiedzkie relacje, tylko w oparciu na istniejące status quo. Litwinom natomiast zależało na jego zmianie, a przede wszystkim na umiędzynarodowieniu całego problemu. "Usztywnienie polityki Kowna wobec Warszawy stało się dogmatem. Uważano, że rząd, który zrzekłby się Wilna nie utrzymałby się ani dnia przy władzy. Antypolskość ześrodkowana wokół sprawy Wilna stała się racją nadrzędną"⁴¹.

W rozwiązaniu konfliktu nie pomogła nawet Liga Narodów. Rokowania w sprawie uregulowania stosunków między obydwojma państwami prowadził belgijski delegat Paul Hymans, który 20 maja i 3 września 1921 r. przedstawił, odrzucone zresztą przez obie strony, dwa plany. Pierwszy z nich zakładał m. in., że "oba państwa uznają wzajemnie swoją suwerenność, ale i wspólne interesy. Granica między Polską a Litwą pozostawi Wilno po stronie litewskiej, zaś Suwałki i Grodno po stronie polskiej. Litwa będzie się składać z dwóch kantonów autonomicznych: kowieńskiego i wileńskiego, które będą miały analogiczny charakter do kantonów szwajcarskich(...) Język litewski i język polski będą językami urzędowymi w całym państwie, zaś mniejszości narodowe uzyskają pełnię praw". Drugi był bardziej atrakcyjny dla Litwinów. "Litwa nie miała już być państwem federacyjnym, zaś okręg wileński miał stanowić tylko kanton autonomiczny w jej składzie"⁴².

W wyniku braku porozumienia sejm Litwy Środkowej (fikcyjnego państwa powstałego po "buncie gen. Żeligowskiego"), 8 stycznia 1922 roku, podjął decyzję, na mocy której przyłączono na trwałe Wilno i pozostałe zajęte terytorium do Polski. Po tym fakcie Józef Piłsudski w Wilnie mówił: "... przez cześć dla przeszłości przez szacunek dla krwi wspólnie przelanej, dzisiaj w dzień wielkiego triumfu, triumfu polskiego, który tak gorąco tu wszyscy odczuwają, nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący do tych tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego triumfu uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki, nawołując do zgody i miłości. Nie mogę nie uważać ich za braci"⁴³.

J. Piłsudski nie mylił się. Dzień przyłączenia Wilna do Polski był dla Litwinów dniem narodowej tragedii i żałoby. Przez większą część dwudziestolecia międzywojennego stosunki między dwoma państwami, mimo wielu podejmowanych prób negocjacji i rozmów były trudne, napięte i praktycznie nie istniały. Co więcej nie miały oficjalnego charakteru, gdyż Polska i Litwa, państwa przez czterysta lat tworzące jedno państwo nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych. Sytuacja ta uległa zmianie na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, ale zmiana ta, poprawa wzajemnych relacji była z jednej strony wynikiem międzynarodowej sytuacji politycznej, a z drugiej polskim naciskiem na stronę litewską.

W nocy 11 marca 1938 roku na granicy polsko-litewskiej został zastrzelony Stanisław Serafin, żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza. Realizując twardą linię polityki ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, dążącego do zawarcia oficjalnych stosunków z Litwą, Polska wystosowała do rządu litewskiego ultimatum, w którym zażądała bezwarunkowego ustanowienia stosunków dyplomatycznych w terminie do 31 marca 1938 roku. Sejm litewski w obliczu silnej polskiej i międzynarodowej presji, nie mając innego wyjścia milcząco, bez głosowania przyjął polskie ultimatum. Był to niewątpliwie najczarniejszy dzień w litewskiej historii. Polska osiągnęła

sukces, nawiązała stosunki z Litwą na swoich warunkach, nie było to jednak zwycięstwo, którym mogła się długo cieszyć, wzajemne relacje nie zdołały się umocnić i utrwalić, gdyż rok później, 1 września 1939 roku w wyniku hitlerowskiej agresji Polska straciła suwerenność, a Litwa 3 sierpnia 1940 roku została przyłączona do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Utrata niepodległości i późniejsza sowiecka okupacja nie zabiła starych urazów, wzajemnej niechęci, braku zaufania i stereotypów. Przetrwały one do upadku ZSRR i do powtórnego odrodzenia się, w dwudziestym wieku niepodległej Republiki Litewskiej i Rzeczypospolitej Polskiej.

Przesłanie końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku dla dzisiejszych Polaków i Litwinów jest jedno. Oba narody powinny robić wszystko, aby nienawiść tamtych lat nigdy się nie odrodziła. W tym celu trzeba najpierw odfalszować historię, historię obciążoną poważnymi grzechami, ze strony polskiej "grzechem zawłaszczenia", wspólnej z polską litewskiej historii, ze strony litewskiej "grzechem świadomego zapomnienia" o tej wspólnej historii. Trzeba o to walczyć wspólnie, przede wszystkim dlatego, że granice między historią, a współczesnością w przypadku polsko-litewskich relacji są zatarte i co więcej dlatego, że historię tych dwóch narodów, wspólną historię można spotkać codziennie na ulicach miast, wspólnych miast polsko-litewskiej historii, Krakowa, Wilna, Lublina.

Polacy i Litwini powinni walczyć ze stereotypami, które zdominowały ich historyczną świadomość, a które odziedziczyli po minionych stuleciach współpracy i mimo wszystko przyjaźni. Litwini ze stereotypem związanym z obawą przez utratą Wilna i Wileńszczyzny, z obawą przed wszystkim co polskie. Polacy zaś muszą się wyzbyć swoich resentymentów, swojego sentymentalnego, romantycznego sposobu patrzenia na Wilno i Litwę. Opisując Wilno powinni robić to słowami z Przeglądu Wileńskiego z 1921 roku: "Czyje tedy jest Wilno? Każdy kto je kocha jak umie i chce dlań pracować, ma prawo nazywać je swoim, i to w dosłownym tego wyrazu brzmieniu. Tak, każdy pojedynczo, a jednocześnie nawet jakaś grupa, licząca swych członków na setki tysięcy, nie ma prawa moralnego nazywać Wilna swoim w sensie wyłączającym od wspólnoty innych. Faktycznie Wilno nie jest wyłącznie ani polskim, ani litewskim, ani białoruskim, ani żydowskim, ani jakimś innym... Prawdziwy obywatel Wilna, naszym zdaniem ująłby swój stosunek doń tak: "Całe Wilno jest moje i wszelkie narodowości w nim zamieszkałe mają równe do niego prawa. Żadna narodowość sama nie wyraża całej myśli i całej prawdy mojego Wilna"⁴⁴. Duch tolerancji płynący z tych słów powinien być żywy także dzisiaj i powinien odnosić się do każdego miejsca i miasta na świecie. Oczywiście dopóki żyją ludzie, którzy na własnej skórze doświadczyli braku polsko-litewskiego porozumienia nie będzie to łatwe. Mimo wszystko warto się starać, aby dzisiaj, gdy Polacy i Litwini stoją u bram Unii Europejskiej, której przyjaźń i międzynarodowa tolerancja jest podstawą [jaaaasne... - dopisek mój, DH], troska o wzajemną przyjaźń, zrozumienie i szacunek była szczególnie, tym bardziej, że żadne europejskie narody nie mają tak wielu wspólnych kart historii zapisanych dobrowolnie złotymi literami. Jest to bezcenny posąg, który Polska i Litwa po prostu mają, i który może, jeśli oba narody tylko zechcą, pomóc im w przyszłości. Jak powiada Sigitas Jegelevičius: "trzeba pochylić głowę przed starą, dawno wypowiedziana prawdą: te dwa państwa mogą normalnie egzystować tylko będąc razem. Słowo razem nie znaczy, że chodzi o zawiązanie nowych sojuszy czy odtworzenie starych związków z czasów unii. "Razem znaczy tutaj przyjazne współzycie dwóch wolnych, demokratycznie rządzonych państw europejskich, współzycie na prawach dobrych stosunków sąsiedzkich, rozwiązywanie wszelkich powstających problemów w zgodzie i obopólnym zrozumieniu. Tym bardziej, że dobre stosunki międzypaństwowe Litwy i Polski są dobrą gwarancją spokoju dla całego regionu wschodniego Bałtyku, a tym samym punktem oparcia przed możliwymi w przyszłości intrygami ze Wschodu"⁴⁵. Żeby tak mogło się stać mieszkańcy obydwu państw powinni się na nowo poznać i na własnej skórze przekonać się, że stereotypy nie są prawdziwe, że Litwini to nie Rosjanie i, że litewski to nie rosyjski. Przyjaciół trzeba szukać blisko, trzeba odnowić stare przyjaźnie tym bardziej, że jak podkreśla Gintaras Beresnevičius: "... Niemiec czy Amerykanin może się nami interesować, ale nigdy nas nie pokocha"⁴⁶.

Przypisy:

- 1 Szerzej J. Bardach, Od aktu w Krewie do Zaręczenia Wzajemnego Obojga Narodów (1385-1795), w: Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-Wschodniej., pod red. J. Kłoczowskiego, P. Krasa, H. Łaskiewiczza, Lublin 1999, s. 13.
- 2 H. Wisner, Cezury i lata. O stosunkach polsko-litewskich raz jeszcze, w: Tematy polsko-litewskie, Historia-Literatura-Edukacja., pod red. R. Traby, Olsztyn 1999, s. 30. J. Bardach, dz. cyt., s. 13.
- 3 Tamże, s. 13.
- 4 Unie polsko-litewskie, Encyklopedia Szkolna Historia, Wrocław 1993, s. 647.
- 5 Tamże, s. 647.
- 6 M. Kosman, Polska- Litwa, w: Polska i jej nowi sąsiedzi (1989-1993), praca zbiorowa, Poznań-Toruń 1994, s. 45.
- 7 E. Gudavičius, Geneza polskiego fenomenu kulturowego na Litwie, w: Pozostawione Historii, Litwini o Polce i Polakach., pod red. K. Korzeniewskiej, V. Sirutavičiusa, Kraków 1999, s. 28.
- 8 E. Gudavičius, Między kultem a rzeczywistością: rozważania o postrzeganiu Witolda Wielkiego w historiografii i społeczeństwie litewskim, w: Tematy polsko-litewskie, Historia-Literatura-Edukacja., pod red. R. Traby, Olsztyn 1999, s. 58.
- 9 Tamże s. 59.
- 10 Tamże s. 59.
- 11 Tamże s. 61.
- 12 Zob. M. Kosman, dz. cyt., s. 47.
- 13 T. Venclova, Litwo, ojczyzna nasza, w: Tematy polsko-litewskie, Historia-Literatura-Edukacja., pod red. R. Traby, Olsztyn 1999, s. 145.
- 14 Tamże s. 146.
- 15 G. Beresnevičius, Odkryć Polskę, w: Pozostawione Historii, Litwini o Polce i Polakach, dz. cyt., s. 147.
- 16 J. Bardach, dz. cyt., s. 16.
- 17 Tamże s. 18
- 18 P. Jasienica, Polska Jagiellonów, Warszawa 1986, s. 335.
- 19 P. Jasienica, tamże, s. 337.
- 20 B. Makowski, Unia lubelska w ujęciu historyków litewskich XX wieku, w: Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-Wschodniej., pod red. J. Kłoczowski, P. Krasa, H. Łaskiewicz, Lublin 1999, s. 49.
- 21 P. Jasienica, dz. cyt. s. 345.
- 22 D. Kuolys, "Miłujmy się jak bracia, a każdy swego pilnuj...", w: Pozostawione Historii, Litwini o Polce i Polakach., dz. cyt., s. 9.
- 23 Tamże, s. 9.
- 24 Tamże, s. 12.
- 25 Więcej na ten temat zobacz: Z. Wójcik, Przejawy separatyzmu na Litwie w XVII wieku, w: Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-wschodniej., pod red. J. Kłoczowskiego, P. Krasa, H. Łaskiewiczza, Lublin 1999, s. 13. s. 100 oraz J. Urwanowicz, Zagrożenia dla unii w XVII i XVIII wieku, w: Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-wschodniej, tamże s. 95.
- 26 Szerzej J. Bardach, dz. cyt., s. 26-30.
- 27 P. Subačius, O tym jak wymyślono heretyka. Kilka uwag na temat retoryki nacjonalizmu litewskiego, w: Pozostawione Historii, Litwini o Polce i Polakach., dz. cyt., s. 73.
- 28 V. Trumpa, W poszukiwaniu modelu historii Litwy XIX wieku, tamże, s. 42.
- 29 E. Gudavičius, Geneza polskiego fenomenu kulturowego na Litwie, tamże, s. 28.
- 30 T. Venclova, dz. cyt., s. 150.
- 31 J. Tazbir, Unia lubelska z perspektywy dnia dzisiejszego, w: Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-wschodniej., pod red. Jerzy Kłoczowskiego, Paweł Krasa, Hubert Łaskiewiczza, Lublin 1999, s. 131.
- 32 G. Beresnevičius, dz. cyt. s. 147.
- 33 A. Mickiewicz, Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego, Warszawa 1986, s. 80.
- 34 V. Trumpa, dz. cyt., s. 45
- 35 H. Wisner, Wokół koncepcji przeszłości i przyszłości, w: Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-Wschodniej., dz. cyt., s. 124.
- 36 T. Venclova, dz. cyt., s. 148.
- 37 P. Subačius, dz. cyt., s. 75.
- 38 T. Venclova, dz. cyt., s. 154.
- 39 R. Miknys, Wilno miasto wielonarodowe i punkt zapalny w stosunkach polsko-litewskich, w: Tematy polsko-litewskie, Historia - Literatura - Edukacja, dz. cyt. s. 91.
- 40 P. Lossowski, Stosunki polsko-litewskie 1921-1939, Warszawa 1997, s. 6.
- 41 Tamże, s. 28.
- 42 Tamże, s. 15 i 19.
- 43 "Kurier Poranny" z 22. 04. 1922, cyt. za: J. Piłsudski, Pisma-mowy-rozkazy, Warszawa 1933, t. 1, s.255-260, cyt. za: Cz. Miłosz, Wyprawa w dwudziestolecie, Kraków 2000, s. 39.
- 44 Wat, Wilno, "Przegląd Wileński", nr 5-6, z 08.12.1921, cyt. za: Cz. Miłosz, tamże, s. 27.
- 45 S. Jegelevičius, Odpowiedzialność historyków i ich możliwości, "Więź" 1991, nr 10, s. 97.
- 46 G. Beresnevičius, dz. cyt. s. 148

Artykuł ukazał się w piśmie „Nasz Czas” i jest częścią pracy magisterskiej pt. „Stosunki polsko - litewskie w latach 90 XX wieku” obronionej przez autora w 2002 roku na UAM w Poznaniu.

Janusz Drzewucki

Człowiek niezłomny, ostatni romantyk, poeta poetów

Gdy Zbigniew Herbert umierał o czwartej rano we wtorek 28 lipca 1998 roku, nad Warszawą przewalała się burza z grzmotami, błyskawicami i piorunami. Nie było gazety, stacji radiowej czy telewizyjnej, która nie poinformowałaby o śmierci poety. Ukazujące się wówczas w prasie codziennej i tygodniowej teksty o pisarzu - o tym kim był, jakim był człowiekiem, jakim był twórcą - wycinałem i wkładałem do osobnego skoroszytu - ku pamięci. Obiecałem sobie wtedy, że za jakiś czas, np. za rok, wszystkie zgromadzone teksty przeczytam za jednym zamachem - ku nauce. Niestety, nie zrobiłem tego.

Skoroszyt ów wpadł mi w ręce przez przypadek, gdy - jak to zwykle bywa - czegoś innego szukałem w szufladach mojego biurka wiosną 2004 roku, między piątą rocznicą śmierci a osiemdziesiątą rocznicą urodzin autora "Pana Cogito". I, odłożywszy wszystko na bok, zacząłem - kartka po kartce - czytać, zaintrygowany portretem poety, wyłaniającym się z wszystkich tych - powstałych na dziennikarski użytek, pisanych na gorąco, a więc siłą rzeczy emocjonalnie - tekstów.

28 lipca 1998 roku

Dwuzdaniowy komunikat o tym, że zmarł Zbigniew Herbert, Polska Agencja Prasowa podała o godz. 10.52. O godz. 10.59 w serwisie PAP ukazała się rozbudowana informacja - kto to taki: gdzie i kiedy się urodził, jakie książki wydał. Informację tę rozbudowywano w następnych depeszach o godz. 12.27 i 14.32. Cóż pisano o Herbercie, oprócz tego, co można znaleźć na jego temat w słownikach, encyklopediach i leksykonach? W drugiej depeszy zwróciła moją uwagę informacja: "W okresie stalinowskim uznany za wroga klasowego miał do 1957 roku trudności ze znalezieniem stałego zajęcia i miał się prac fizycznych", powtórzona także w depeszy trzeciej, w której znalazło się także zdanie: "W ostatnich latach życia nieraz dawał publiczny wyraz swoim radykalnie antykomunistycznym poglądom (był zwolennikiem lustracji i rozliczenia osób odpowiedzialnych za komunistyczne represje)". Dlaczego na to zwróciłem uwagę? Otóż dlatego, że uderzyła mnie sucha sprawozdawczość dotycząca literackiego dorobku pisarza, przy równoczesnym zaakcentowaniu jego zdecydowanej postawy politycznej.

Pierwszy (godz. 11.55) o zmarłym wypowiedział się dla PAP Gustaw Herling-Grudziński, tworzący na emigracji pisarz, który stwierdził, że Herbert: "był wybitny, był jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich". Drugi wypowiedział się (godz. 12.30) Piotr Wierzbicki, redaktor naczelny "Gazety Polskiej": "Umiał być pisarzem, zachować się jak pisarz polski, a nie jak dworski wazeliniarz i to zarówno w stosunku do komunistów, jak i własnego środowiska", a także: "Trzeba cenić w nim, że pozostał wierny ideałom, nigdy nie podlizywał się możnym tego świata, nie próbował zacierać prawdy o komunizmie". Ani słowa o specyfice twórczości literackiej Herberta.

Także dla doc. Jerzego Snopka, zastępcy dyrektora ds. naukowych Instytutu Badań Literackich PAN, ważniejsza od twórczości Herberta była jego postawa polityczna, skoro (o godz. 14.27) twierdził, że pisarz: "postrzegany był w świecie jako wzór godnej, bezkompromisowej postawy wobec systemu totalitarnego".

Nieco wcześniej (godz. 14.12) dziennikarzowi PAP wyznał Czesław Miłosz: "Przez lata byłem z nim w bardzo żywej i ścisłej przyjaźni. Potem to się zepsuło", chwilę później (godz. 14.13) użytkownicy serwisu mogli się dowiedzieć, że w księgarniach Warszawy odnotowano "duże zainteresowanie dziełami Herberta", który według Wisławy Szymborskiej: "był wielkim artystą i myślicielem" (godz. 14.15).

Zaraz po noblistach (godz. 14. 39) głos zabrał Cezary Michalski, publicysta związany z kwartalnikiem "Fronda": "Dla mojego pokolenia, pokolenia 30-latków, którzy zaczęli pisać w czasach PRL, poezja Herberta pełniła podobną funkcję jak literatura emigracyjna. Mimo że Herbert żył i tworzył w kraju, pozostawał wolny jako osoba i nam też, swoim czytelnikom, tę wolność przekazywał" i ponadto: "Herbert zwracał także uwagę na fakt, że forma pisania jest bardzo ważna. Ale żeby pisać, trzeba być świadomym moralnie, gdyż poezja powinna nieść określone przesłanie".

Kwestia politycznej postawy pisarza wydała się redaktorom PAP tak istotna, że zamieszczono w serwisie obszerną dwuczęściową depeszę pod hasłem: "Herbert - sylwetka - polityka", w której mowa wyłącznie o politycznym zaangażowaniu pisarza. Ze słynnego wywiadu dla "Newsweeka" z 1991 r. zacytowano tylko jedno zdanie: "Jestem raczej politycznym zwierzęciem niż poetą", przypomniano jego listy otwarte do prezydentów Busha, Wałęsy i Dudajewa w sprawie Kurdów, Kuklińskiego i Czeczenii, poparcie poety udzielone Lidze Republikańskiej domagającej się "odtajnienia nazwisk funkcjonariuszy SB - sprawców odpowiedzialnych za zamordowanie Stanisława Pyjasa, studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego" i że krytykował porozumienia zawarte przy Okrągłym Stole. Z równie głośnego wywiadu udzielonego "Tygodnikowi Solidarność" w roku 1994 przywołano sprawę konfliktu z Miłoszem: "Był to 1968 czy 1969 rok. Powiedział mi - na trzeźwo - że trzeba przyłączyć Polskę do Związku Radzieckiego. Ja na to: 'Czesiu, weźmy lepiej zimny tusz i chodźmy na drinka'. Myślałem, że to żart czy prowokacja. Lecz gdy powtórzył to na kolacji, gdzie byli Amerykanie, którym się to nawet bardzo spodobało - wstałem i wygarnąłem. Takich rzeczy nie można mówić - nawet żartem". Z depeszy dowiadujemy się także, że w oświadczeniu ogłoszonym w "Gazecie Wyborczej", krótko po wywiadzie w "Tygodniku Solidarność", Miłosz mówił, że to: "wyjątkowe złośliwe pomówienie" i: "Jak mi wiadomo z różnych źródeł, Zbigniew Herbert przeżywa trudny okres". Redaktor PAP przypominał, że w ogłoszonym po paru dniach wywiadzie dla "Życia Warszawy" Herbert "całkowicie podtrzymał swoją wersję".

Katolicka Agencja Informacyjna zamieściła informację o zgonie poety, którą kończy zdanie: "Wiersze Zbigniewa Herberta były szczególnie popularne zwłaszcza w okresie stanu wojennego, kiedy to traktowane były jako manifesty oporu przeciwko komunistycznej władzy". KAI zamieściła także wypowiedź księdza prałata Wiesława Al. Niewęglowskiego, określającego Herberta mianem "największego poety współczesnego. Choć nie otrzymał Nagrody Nobla, to jednak był on primus inter pares - pierwszym pośród równych. (...) Wczoraj rozmawialiśmy również o Panu Bogu. Mówił sam z siebie: 'Pan Bóg był zawsze dla mnie kimś ważnym'. Myślę, że to jest jego ostatnie przesłanie"; a ponadto rozmowę z abp. Józefem Życińskim. Hierarcha powiedział m.in.: "Z wielości jego świadectw najważniejsze pozostaje dla mnie świadectwo piękna i godności. (...) z pewnym bólem stwierdzam, że w wielu środowiskach kulturotwórczych wolnej Polski nie doceniano roli Herberta, którą winniśmy docenić. (...) potrafił łączyć ból swojego życia, świadectwo godności, poszukiwanie sensu z wiarą w harmonię i piękno. Dla chrześcijanina te rzeczowniki są imionami Boga". Życiński był jedynym - cytowanym tego dnia przez PAP i KAI - w którego wypowiedzi padają cytaty z wierszy Herberta!

29 lipca 1998 roku

Informacja o śmierci Zbigniewa Herberta ukazuje się w gazetach. "Pan Cogito odchodzi" pisze "Rzeczpospolita" na pierwszej stronie piórem autora podpisującego się inicjałami J.D.

Także na pierwszej stronie żegna poetę "Gazeta Wyborcza" w artykule zatytułowanym "Pożegnanie Herberta". Autorem tego tekstu jest Adam Michnik, redaktor naczelny "GW": "Uformował go czas konfrontacji z totalitarnym barbarzyństwem, któremu stawiał czoło z podziwu godną konsekwencją". Dalej Michnik twierdzi, że po naszych czasach, "kiedy rządził potwór" - tu cytat z niewymienionego z tytułu wiersza "Potwór Pana Cogito" - Herbert: "uderzał na odlew, a nieraz na

oślepię. Zawsze jednak przywoływał potęgę smaku". Co prawda, Herberta jako twórcę zalicza Michnik do grona Kochanowskiego, Mickiewicza i Słowackiego, ale powiada też: "Gdy wypowiadał się o sprawach środowiskowo-politycznych, nie odbiegał od norm polskiego piekła, w którym pograżały nas ostatnie lata, gdy przemawiał wierszem, osiągał doskonałość i mądrość serca właściwą tylko arcydziełom". Jakby tego było mało, autor "Z dziejów honoru w Polsce" dodaje: "Jego wypowiedzi politycznych z ostatnich lat często nie potrafiłem zrozumieć".

"GW" poświęciła Herbertowi - oprócz strony tytułowej - jeszcze cztery kolumny, na których znalazło się dziesięć wierszy, m.in. "Przesłanie Pana Cogito", wypowiedzi Szymborskiej i Miłosza, a także okolicznościowy artykuł Dariusza Suski "Koniec burzy". "Herbert dla polskiej opozycji demokratycznej był - oczywiście - tym, kim Dante dla Włoch" - powiada pewny swego Suska, ale na koniec dodaje: "W ostatnich latach Zbigniew Herbert drukował i wypowiadał się m.in. w pravicowych (pismach - przyp. J. D.) 'Tygodniku Solidarność', 'Czasie Krakowskim', 'Życiu', przemilczając fakt, że poeta dość regularnie drukował także w dodatku do 'Rzeczpospolitej' 'Plus Minus', w którym zresztą ogłosił - przedrukowane w tym samym numerze 'GW' - 'Dziesięć ścieżek cnoty'. Oprócz tego kilka fotografii, spośród których zwraca uwagę ta zrobiona w 1981 roku, przedstawiająca poetę w towarzystwie działaczy związkowych: Anny Walentynowicz, Adama Michnika i Jacka Kuronia oraz poetów Ryszarda Krynickiego i Lecha Dymarskiego podczas uroczystości wydarzeń czerwca 1956 roku w Poznaniu.

Także w "Życiu" informacja o śmierci Herberta była główną informacją na pierwszej stronie. W krótkiej nocie biograficznej zamieszczono najważniejsze fakty z jego biografii, tytuły książek, a także: "Ostatnio często opowiadał się publicznie za przeprowadzeniem lustracji i rozliczeniem osób odpowiedzialnych za komunistyczne represje". W numerze ponadto dwie kolumny o Herbercie: utwory "Przesłanie Pana Cogito" oraz "Bagaż podróży", fotografie, kalendarium życia i twórczości, okolicznościowy tekst Grzegorza Sroczyńskiego "Pan Cogito zgasił światło" i felieton redaktora naczelnego Tomasza Wołka "Dar wielkiego poety", w którym czytamy: "Odszedł nie tylko wielki, może największy polski poeta, odszedł wielki autorytet intelektualny i moralny współczesnej Polski. Ktoś, kto nie wziął udziału w hańbie domowej czasów pogardy, ktoś, kto ocalił najwyższe wartości, kto przeniósł je w nasze współczesne czasy, kto był natchnieniem dla kolejnych pokoleń Polaków". Ponadto zestaw, zebranych przez dziennikarzy, wypowiedzi przyjaciół poety i znawców jego twórczości, takich jak: Małgorzata Dziewulska, Ernest Bryll, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś, Krzysztof Zanussi, Piotr Kłoczowski. Uwagę zwraca wypowiedź Tomasza Jastruna, który powiedział m.in. ni mniej, ni więcej: "Herbert był poetą rozdartym, patos zjadłby go, gdyby był mniej zdolny. Był poetą moralistą, nie sprzedał duszy diabłu w czasach stalinowskich. Jest wiadome, że Herbert był chory i była to forma choroby psychicznej. O tym się nie mówi w Polsce głośno, a miało to wpływ na jego ostatnie wypowiedzi". (Dzień później, czyli 30 lipca, "Życie" dołożyło do wydania czterostronicowy dodatek o Herbercie, a w nim notatkę: "We wczorajszym numerze 'Życia' w wypowiedzi Tomasza Jastruna o Zbigniewie Herbercie znalazły się sformułowania, które nie mieszczą się ani w kategoriach dobrego smaku, ani powszechnie przyjętego obyczaju. Pośpiech w redagowaniu materiałów o wielkim poecie sprawił, że tak sformułowane przez Tomasza Jastruna wypowiedzi znalazły się w druku. Wszystkich za ten nieszczęsny incydent przepraszamy").

Duże zdjęcie poety otwiera wydanie "Życia Warszawy". Artykuł podpisany literami LG nosi tytuł "Pan od poezji". W środku "Elegia na odejście pióra atramentu i lampy" i zbiór, zebranych przez reporterów, wypowiedzi o Herbercie, m.in. kompozytorów Krzysztofa Pendereckiego, Wojciecha Kilara, Krzysztofa Knittla, historyka literatury Tadeusza Drewnowskiego i Aleksandra Schenker, profesora slawistyki Uniwersytetu Yale (USA), który nazywa Herberta "Jednym z dwóch, bez wątplenia największych poetów naszego stulecia", nie dodaje jednak, kim jest ten drugi.

Ciekawie wypada porównanie wydań z tego dnia tak różnych gazet, jak "Nasz Dziennik" i "Trybuna". "Zmarł Klasyk" pisze na pierwszej stronie od góry "Nasz Dziennik". Z lapidarnej noty podpisanej inicjałami MG dowiadujemy się, że Herbert był: "Najwybitniejszym poetą współczesnej Polski" oraz: "Jego twórczość była drogowskazem moralnym dla ludzi prawych, kierujących się w czasach pogardy dla człowieka w stronę helleńsko-chrześcijańskiej Tradycji, stanowiącej duchową podstawę naszej cywilizacji". "Trybuna" o śmierci Herberta informuje również na pierwszej stronie, lecz na dole kolumny, w króciutkiej depeszy, z której czytelnik dowiaduje się, że zmarły: "pozostanie jednym z najwybitniejszych twórców drugiej połowy XX wieku". Na stronie czwartej pod wspólnym tytułem "Nie ma już ich wśród nas" dwie równej wielkości informacje o śmierci Herberta i Adama Hollanka, popularnego pisarza powieści science fiction, twórcy miesięcznika "Fantastyka", podpisane inicjałami (LŻ). W nocie o Herbercie błędnie podano, że urodził się w Stanisławowie. Czytamy tu też: "uchodził za jednego z nielicznych, którzy zdołali oprzeć się zgubnemu magnetyzmowi socrealizmu i którzy wypowiadali się głównie poprzez sztukę, choć w ostatnich latach i on swoje emocje polityczne, ostro prawicowe, często demonstrował w wystąpieniach publicznych".

W "Expressie Wieczornym" poświęcono Herbertowi niemal całą stronę szóstą. W artykule pod tytułem "Odszedł nosiciel pięknych słów" Paweł Pokora pisze: "Ale głośno było nie tylko o jego lirykach, ale też o nielicznych wywiadach, w których Herbert komentował polityczną rzeczywistość Polski. Nosiciel pięknych słów - jak powiedział o Herbercie Stanisław Lem, pokazał się w nich jako zagorzały antykomunista, nieszczędry nikomu ostrych określeń". Z zamieszczonej obok wypowiedzi Lema wynika, że Lem nie Herberta, lecz jego poezję nazwał "nosicielką pięknych słów".

W "Super Expressie" notka "Wielki poeta odszedł w cień" znalazła się na dole strony trzeciej. Powyżej artykuł "Rząd pomoże powodzianom", jeszcze wyżej reportaż "O krok od linczu": "Mieszkańcy wioski sami złapali kierowcę, który po pijanemu zmasakrował dwie dziewczynki".

Przegląd prasy regionalnej zacznę od wydawanego w Gdańsku "Dziennika Bałtyckiego", w którym Herbertowi poświęcono dwie zamieszczone u dołu strony drugiej notatki. Janina Wieczerska nazywa Herberta "wielkim poetą i autorytetem moralnym" i zaraz dodaje: "To ostatnie pojęcie zdezwuowało się mocno przez nadużywanie", natomiast Tadeusz Skutnik zaczyna stwierdzeniem: "Zostaliśmy sami. Popustoszało bardzo boleśnie. Dopiero teraz wyjdzie na jaw, jak dobrze było, że był Herbert", natomiast kończy osobistym zwrotem: "Do zobaczenia, Zbyszku!".

W ukazującym się na Śląsku "Dzienniku Zachodnim" artykuł Krzysztofa Karwata "Pan Cogito nie żyje" zajmuje połowę strony trzynastej, drugą połowę wypełnia tekst o wystawie malarstwa Edwarda Dziechciarzyka w Galerii Art Nova 2 w Katowicach. Dla odmiany na stronie pierwszej artykuł o Herbercie zamieściła "Trybuna Śląska". Tytuł tekstu "Świst pękniętego lustra". Dla autora tekstu podpisującego się kryptonimem (KOW): Herbert to "najwybitniejszy współczesny poeta polski", tłumaczony i nagradzany na całym świecie: "Tylko Nobla mu poskąpiono, co wzbudziło zdziwienie krytyków. Poetycki ogląd świata łączył, jak przystało na kronikarza rzeczywistości, z temperamentem polityka".

Także na pierwszej stronie od góry informuje o śmierci Herberta krakowski "Dziennik Polski". Co więcej, Herbertowi poświęcono także całą kolumnę czwartą. Tu znajdziemy dwa artykuły powstałe na podstawie materiałów PAP, wypowiedzi noblistów: Szymborskiej i Miłosza, a także profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego: Marty Wyki i Stanisława Balbusa, Aleksandra Fiuta i pisarza Jana Józefa Szczepańskiego oraz wspomnienie Jana Adamskiego, który - powołując się na swoją znajomość z poetą z czasów studiów prawniczych na UJ - przytacza kilka osobistych anegdot, kończy zaś patetycznie: "O Zbigniewie Herbercie już piszą najwięksi z Was. Sława Jego panuje nad nami i nad Krakowem, grodem, który Wielki Poeta Polski ukochał i który był Mu bliski".

Na koniec chciałbym bliżej przyjrzeć się wydawanemu w Białymstoku "Kurierowi Porannemu", dla którego śmierć Herberta była główną informacją dnia. Na pierwszej stronie wielkie zdjęcie i artykuł "Odszedł Zbigniew Herbert", w którym (JEN) podkreśla niezależność poety: "od mód artystycznych i politycznych koniunktur" - i w latach 50., "gdy jako jeden z nielicznych nie splamił się socrealizmem", i w czasach PRL, gdy jego twórczość "stała się drogowaskazem duchowym dla opozycji", i w stanie wojennym oraz "w latach ostatnich, gdy, wypowiadając zdecydowane poglądy na temat dekomunizacji, poróżnił się z dotychczasowymi przyjaciółmi i został odsunięty w cień". Herbertowi poświęcono także dwa teksty na stronie drugiej i całą kolumnę dziesiątą. Przeważają materiały PAP. Osobną uwagę zwraca zatytułowany "Zmarł największy poeta powojenny" zbiór wypowiedzi białostockich twórców. Oto kilka cytatów. Jan Leończuk, poeta, prezes ZLP: "największy, najgenialniejszy poeta naszego wieku"; Tadeusz Słobodzianek, dramaturg, krytyk teatralny: "największy - obok Mirona Białoszewskiego - poeta drugiej połowy XX wieku"; Waldemar Smaszcz, krytyk literacki: "największy nasz poeta powojenny"; Jerzy Plutowicz, poeta: "jeden z wielkich poetów polskich, obok Szymborskiej, Miłosza czy Różewicza"; Roman Czepe, poeta: "w Polsce nikt nie dorówna Herbertowi"; Artur Jan Szczęsny, poeta: "był (...) jednym z najważniejszych poetów w ogóle, nie tylko powojennych". I na koniec Jan Czykwin, poeta, tłumacz wierszy Herberta na białoruski: "Śmierć własna poety jest często zmartwychwstaniem jego poezji. Dotyczy to, jak sądzę, także Zbigniewa Herberta. Zaangażowaniem w polityczne problemy ostatniej dekady, swoją osobowością i interpretacją własnej twórczości Herbert niewątpliwie zasłaniał to, co najwartościowsze, najważniejsze.

Moim zdaniem, należy on do tych - jednak wielkich - polskich poetów, czyich twórczości przeznaczone jest długie odślanianie się wciąż nowymi znaczeniami w świadomości niejednego pokolenia czytelników". Nie ukrywam, że właśnie to wyznanie - 29 lipca 1998 roku - dało mi najwięcej do myślenia.

Po tygodniu

Wiadomość o śmierci Zbigniewa Herberta na łamy tygodników społeczno-politycznych (pisma o charakterze kulturalnym w tym przeglądzie pomijam programowo) trafiła w następnym tygodniu.

"Tygodnik Solidarność" z datą 7 sierpnia 1998 pożegnał pisarza wielkim zdjęciem na pierwszej stronie i wierszem "Kwatera Główna", który poeta przekazał redakcji na kilka tygodni przed śmiercią. W numerze sześć stron wspomnień, jak zaznacza redakcja, "przyjaciół poety", kolejno: Janusza Tomaszewskiego, Waldemara Łysiaka, Władimira Bukowskiego, Jerzego Buzka, Zdzisława Najdera, Adama Borowskiego, Krzysztofa Piesiewicza, abp. Józefa Życińskiego, Mirosława Chojeckiego, Joanny Siedleckiej, Andrzeja Biernackiego, Krzysztofa Dybcia, Jacka Trznadla, Ewy Tomaszewskiej, Lecha Dymarskiego, Ewy M. Thompson, Piotra Szczepanika, Andrzeja Romana i Mariana Krzaklewskiego, wtopionych w osobistą narrację zatytułowaną "Pułkownik Huzarów Śmierci" Andrzeja Gelberga, redaktora naczelnego, nazywającego Herberta "Poetą Poetów". Z tego obszernego tekstu jeden tylko wyimek: "Konflikt Herberta ze środowiskiem tzw. lewicy laickiej, w latach 70. i 80. uważającym go za swojego idola, po odzyskaniu niepodległości skupionym wokół 'Gazety Wyborczej', nie zrodził się z tego powodu, że poeta dokonał jakiejś wolty. Było dokładnie odwrotnie! Naczelnicy 'GW' padający kiedyś przed poetą na kolana (Michnik uwielbia takie teatralne gesty), jakoś nie chciał po roku 1989 zrozumieć, że Herbert przez całe życie był constans. Nie tylko w czasach komuny, również w wolnej Polsce. Środowisko to darowałoby Herbertowi, gdyby zdecydował się nie schodzić z Olimpu i wypowiadał za pośrednictwem swoich wyrafinowanych, a zarazem klasycznych wierszy. Ale publicystyki drukowanej na łamach 'Tygodnika Solidarność', nazywającej rzeczy po imieniu i wprost, środowisko to nie mogło ścierpieć. Zaczęła się wojna, z tamtej strony prowadzona bynajmniej nie z otwartą przyłbicą. Pierwszą metodą oponentów Herberta było przemilczanie. Drugą - dezawuowanie. Idę o zakład, że w tym, iż Herbert nie dostał Nobla, maczali w jakiś sposób palce jego wpływowi, krajowi

adwersarze". I żeby nie było wątpliwości: "I nie chodzi mi tu tylko o fakt, że Herbert nie został odpowiednio uhonorowany, gdyż na liście literackich noblistów jest niemało twórców drugorzędnych. Mam pretensje o to, że gdyby Herbert dostał Nobla, być może dłużej by żył..." Ozdobą numeru jest poświęcony pamięci Zbigniewa Herberta wiersz "Słowo i granit" Czesława Niemena.

W "Tygodniku AWS" z datą 9 sierpnia żegnają Herberta trzej autorzy. Piotr Skórzyński zalicza Herberta w poczet największych Polaków XX wieku, obok: Ignacego Jana Paderewskiego i Józefa Piłsudskiego, Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyły. Maciej Iłowiecki nazywa Herberta "największym poetą polskim XX w. i jednym z największych w ogóle" i nieco dalej stwierdza: "Wbrew pozorom, Zbigniew Herbert był ostatnim romantykiem (tak mi się przynajmniej wydaje), który - pokorny wobec ludzkich słabości - był jednak niezłomny, o ile chodziło o zasady, zwłaszcza o prawdę. Niezłomność wbrew wszystkiemu jest przecież cechą romantyczną".

"Polityka" z datą 8 sierpnia 1998 roku pożegnała Herberta całostronicowym artykułem "Pan Herbert" - opatrzonym nagłówkiem: "Zmarł wybitny polski poeta" - pióra Tomasza Jastruna, poety, prozaika i eseisty. Tekst zaczyna się mocną konstatacją: "Było poetyckie wesele po Nagrodzie Nobla dla Szymborskiej. Dzisiaj jest stypa po śmierci Herberta". Kilku równie mocnych stwierdzeń nie sposób nie wynotować w trakcie lektury: "był niezwykle prawy, ale też dobrze pamiętam, że nie znosił świętych. Był pełen surowej etyki, ale też wielkich namiętności. To piekielna, ale twórcza kondycja"; "Żył chwilami bardziej niż skromnie, ale z czystym sumieniem. Potem coraz bardziej jak pustelnik, z dala od ludzi"; "był jednym z najszlachetniejszych Polaków, autorem bardzo prostych, ale głębokich wierszy, które są w stanie zrozumieć wszyscy". I wreszcie (podobnie jak w inkryminowanej wypowiedzi dla "Życia") stwierdza Jastrun bez ogródek: "W Polsce osoby publiczne nie cierpią na psychiczne schorzenia. Czy nie czas zerwać z tą tradycją? Herbert był chory na cyklofrenię (depresja, z fazami obniżenia nastroju i pobudzenia). To zapewne w tej ostatniej fazie szokująco brutalnie zaatakował wielu, jakoś nisko, niemądrze (...). Ta choroba nie zmienia istoty osobowości, wzmacnia, co już jest. A w nim zawsze była niezłomność, pogarda dla kompromisu i cholerny temperament".

W tygodniku "Wprost" z datą 9 sierpnia dwustronicowy artykuł "Życie wieczne Pana Cogito" napisany przez Helenę Zaworską, krytyka literackiego, przez kilka dekad publikującą na łamach miesięcznika "Twórczość", później związaną z "Gazetą Wyborczą". W finezyjnym literacko szkicu Zaworska skupia się przede wszystkim na twórczości literackiej Herberta, "jednego z największych poetów XX wieku", analizuje jego teksty poetyckie i eseistyczne, zaznaczając, że o Herbercie jako moralście, buntowniku i sumieniu epoki napisano tak dużo - "powtarza się to w każdym artykule" - że teraz trzeba namawiać czytelników: "Czytajmy go uważnie, nie popadając w żadne stereotypy odbioru".

Po roku

W pierwszą rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta 28 lipca 1999 roku Polska Agencja Prasowa zamieściła w swoim serwisie tylko jedną informację, że przy jego grobie zebrali się działacze Ligi Republikańskiej: "Zapalili znicze i złożyli kwiaty na grobie poety. Później przez chwilę modlili się w ciszy". "To wielki twórca, człowiek niezłomny, o nieposzlakowanym życiorysie" - powiedział dziennikarzowi PAP lider Ligi poseł Mariusz Kamiński.

W tej samej depeszy przypomniano, że poeta "wiele razy dawał wyraz swoim antykomunistycznym poglądom. Domagał się przeprowadzenia lustracji i rozliczenia zbrodni PRL", że był przeciwnikiem porozumienia Okrągłego Stołu i "grubej kreski".

Na koniec autor depeszy wymienia kilka tytułów utworów Herberta, w tym błędnie "Inny pokój", zamiast "Drugi pokój". Błędnie podaje datę wydania "Barbarzyńcy w ogrodzie" - 1963, zamiast 1962 r.

Tego samego dnia "Gazeta Wyborcza" wydrukowała obok siebie "Tren Fortynbrasa" Herberta zadedykowany "dla M. C." oraz wiersz Czesława Miłosza "O poezji z powodu telefonów po śmierci Herberta", kończący się strofką: "Oswobodzona z majaków psychozy,/ z krzyku ginących tkanek,/ z męki wbitego na pal./ Wędruje światem/ Wiecznie jasna".

Kim był ten, który zmarł o godzinie 4 rano we wtorek 28 lipca 1998 roku, gdy nad Warszawą przewalała się burza z grzmotami, błyskawicami i piorunami?

Zbigniew Herbert
Duszyczka
(ze zbioru esejów: Labirynt nad morzem)

Zdzisławowi Najderowi

Nie widzę, żeby Freud gdziekolwiek wznosił się ponad własną psychologię, i nie wiem, w jaki sposób chce on uwolnić chorych od tego cierpienia, które dręczy jego samego jako lekarza.

Carl Gustav Jung

Nie pamiętam już dokładnie, jaki to przypadek sprawił, że natrafiłem na ten tekst. Było to według wszelkiego prawdopodobieństwa w okresie, kiedy pisałem szkic o Akropolu, a ponieważ praca szła opornie, więc jak zwykle w takich razach uciekałem w lekturę, czytałem rozprawki, przyczynki, artykuły rozproszone w archeologicznych pismach fachowych i sporządzałem z nich notatki, z góry wątpiąc, czy przydadzą się na cokolwiek. Oszukiwałem sam siebie najoczywiściej. Chciałem się jakby usprawiedliwić, że nie próżnuję przecież, że nie popadam w prostrację duchową, więc wykonywałem pracę zastępczą, jałową i nudną w nadziei, że z tej jałowości i nudy wybłyśnie nagle czysty promień inspiracji. A tymczasem każda szuflada katalogu działowego w odwiedzanych bibliotekach ziała setką tytułów w różnych językach i zdawała się mówić: „Po co się trudzisz, wszystko zostało już napisane, nie ma w tej dziedzinie nic do dodania. Jedyna rola, jaka może ci przyspaść w udziale, to rola kompilatora”.

I właśnie w tym czasie niepokoju i rozterki wpadł mi w ręce list Zygmunta Freuda do Romain Rollanda, pisany z okazji jego 70. rocznicy urodzin i, jak wynika z charakteru owego listu, przeznaczony do książki pamiątkowej, którą przyjaciele wydali na cześć wielkiego pisarza.

Pomijając epistolarną formę wstępu i zakończenia, można traktować ów fragment Freuda jako esej, tym ciekawszy, że twórca psychoanalizy stosuje tę metodę do samego siebie, ściśle mówiąc, do pewnego epizodu przeżyć własnych. Epizod ów odległy jest od piszącego o lat trzydzieści kilka i z pozoru najzupełniej banalny, pojawia się – jak to wyznaje – uporczywie w polu świadomości, i to bez wyraźnej racji czy przyczyny.

Otóż w roku 1904, jak co roku z końcem sierpnia lub na początku września, Freud wraz ze swoim młodszym bratem postanawiają spędzić wakacje nad Morzem Śródziemnym. Tym razem jednak ich urlop był krótszy, rezygnują więc z tradycyjnej podróży do Włoch, jadą natomiast do Triestu, skąd mają zamiar udać się na wyspę Korfu, żeby tam spędzić kilka dni. Przypadkowo spotkany w Trieście znajomy żywo odradza im ten projekt. Na wyspach o tej porze roku jest bardzo gorąco – argumentuje – znacznie przyjemniejsza natomiast byłaby wycieczka do Aten. Połączenie statkiem jest szczególnie korzystne, bo pozostawia podróżnym trzy dni na zwiedzanie miasta.

Ta, zdawałoby się, rozsądna i ponętna propozycja wprawia obu braci – rzecz dziwna – w dość ponury humor. Błądzą po mieście niezbyt zdecydowani i bez entuzjazmu dyskutują projekt podróży do Aten, dostrzegając same tylko przeszkody. Ale kiedy nadchodzi godzina otwarcia biur Lloyd'a, zjawiają się przy okienku i kupują bilety, jakby zapominając na chwilę o niedawnych obiekcjach.

„Po południu w dzień naszego przybycia, gdy znalazłem się na Akropolu i kiedy objąłem spojrzeniem krajobraz, nagle przysła mi ta dziwna myśl: «A więc to wszystko istnieje naprawdę, tak jak tego uczyliśmy się w szkole»”. Jest to uwaga niezbyt oryginalna, ale wyrażająca trafnie odczucia wszystkich tych, którym dane było po raz pierwszy stanąć przed Koloseum, posągiem Wenus z Milo czy portretem Mony Lizy. I właśnie w głąb tego przeżycia czy odczucia Freud zapuszcza analityczną sondę, aby wykazać, że nie jest ono tak proste i pospolite, jak by się mogło wydawać.

Zdaniem twórcy psychoanalizy, zachodzi tu szczególny przypadek współlistnienia w tej samej psychice dwu sprzecznych postaw i wynikających z nich dwu diametralnie różnych reakcji wobec rzeczywistości. Oczywiście nie jest to jakieś patologiczne rozdwojenie jaźni, ale w osobowości powstaje niepokojąca szczelina i zmacony zostaje prosty stosunek między percypującym podmiotem a przedmiotem. Przyjrzyjmy się bliżej temu zjawisku.

Charakterystyczną reakcją, wynikającą z pierwszej postawy, jest zdziwienie, że widziany Akropol istnieje naprawdę, jakby przedtem wątpiło się w jego realne istnienie; natomiast znamienne reakcją postawy drugiej jest „dziwienie się temu zdziwieniu”, bowiem rzeczywistość Akropolu nie była nigdy przedmiotem wątpliwości.

Aby zilustrować postawę pierwszą, Freud mówi, że z pewną przesadą można by ją porównać do reakcji człowieka, który przechadzając się w Szkocji nad jeziorem Loch Ness widzi nagle ciało słynnego potwora wyciągnięte na brzegu i jest wówczas zmuszony wyznać: ależ on istnieje naprawdę, ten potwór morski, w którego nigdy nie wierzyliśmy. Druga natomiast postawa, dodajmy od siebie, bliska realizmowi naiwnemu, akceptuje bez zastrzeżeń świadectwo zmysłów, cała otwarta na nie zmacony żadną refleksją zachwyty czy przerażenie.

Najbardziej naturalną interpretacją tych dwu „konkurencyjnych” odczuć byłoby stwierdzenie, że jest zasadnicza różnica między tym, co przeżywamy bezpośrednio, a tym, co znamy z lektury czy ze słyszenia i że to właśnie nakładanie się wiedzy i widzenia powoduje ową sprzeczność odczuć i zamącenie poczucia rzeczywistości. Ale Freud odrzuca taką wykładnię jako zbyt banalną i nie tłumaczącą niczego.

Stara się wytropić, dlaczego w Trieście odpychał tak przecież pociągającą perspektywę wyjazdu do Aten i dlaczego na Akropolu jego radość płynąca z bezpośredniego obcowania z arcydziełem architektury była przesłonięta głębokim cieniem sceptycyzmu. „Zgodnie ze świadectwem moich zmysłów jestem teraz na Akropolu, tylko nie mogę w to uwierzyć” lub to samo odczucie, wyrażone w sposób bardziej kategoryczny: „To, co teraz widzę, nie jest rzeczywiste”.

Sceptycyzm – oto właściwe słowo. Nie tylko słowo – ale zdaniem Freuda – coś znacznie więcej, bo zakorzeniony głęboko w człowieku mechanizm psychiczny. Działanie owego mechanizmu psychicznego znamy dobrze z potocznego doświadczenia. Ilekroć spotyka nas nieszczęście, odpychamy je okrzykiem „nie, to niemożliwe”, staramy się jakby zlikwidować tę część rzeczywistości, odrzucić ją poza zakres naszej świadomości. I autor podaje ładny przykład literacki – fragment poematu *Ay de mi Alhama (Och, biedna Halamo)*, w którym wyraża się jasno ta reakcja obronna. Król Boabdil otrzymuje wiadomość o upadku Alhamy. Wie dobrze, że oznacza to koniec jego panowania. Ale ponieważ nie chce tego wiedzieć, traktuje hiobową wieść tak, jakby nie dotarła do niego, jakby odrzucenie jej mogło zmienić bieg wypadków.

*Cartas le fueron venidas,
de que Alhama era ganada
Las cartas echó en el fuego
y al mensagero mataba.*

*Wiść mu dostarczono,
że Alhamę zdobyto
List do ognia wrzucono,
a posłańca zabito. (Hiszp.)*

Można łatwo zrozumieć zachowanie i nastrój króla. Próbuje on po prostu przewyciężyć swoją bezsilność, poczuć, że jego władza jest tak jak dawniej nieograniczona, więc list o klęsce rzuca w ogień i rozkazuje zabić posłańców. Nie mogąc zmienić losu, niszczy narzędzia informacji.

Ta reakcja defensywna jest nietrudna do wytłumaczenia i można przytoczyć szereg przykładów mniej skrajnych, wyszukanych czy literackich, a bardziej bliskich powszechnemu doświadczeniu. Uwagę Freuda pociąga druga strona działania tego samego, jak twierdzi, mechanizmu psychicznego, strona ciemna, illogiczna, sprzeczna z instynktem samozachowawczym. I stara się wykazać, że człowiek reaguje podobnie jak w przypadku nieszczęścia – to znaczy odrzucając rzeczywistość – gdy spotyka go nagle szczęście, wielka nagroda, wygrany los, ręka skrycie kochanej dziewczyny. Tę reakcję dobrze wyraża potoczny zwrot, istniejący we wszystkich niemal językach europejskich: „zbyt dobre, aby było prawdziwe”. Podczas gdy obrona przeciw złemu przeznaczeniu jest czymś oczywistym, dlaczego – pyta Freud – reagujemy odruchem sceptycyzmu i niewiary na coś, co niesie z sobą radość i jest uśmiechem losu. Tę paradoksalną sytuację nazywa „przegraną z powodu sukcesu” i mówi, że ludzie popadają w choroby nie tylko w wyniku niespełnienia swych pragnień życiowych, ale również wtedy, gdy bardzo intensywne pragnienia znajdują zaspokojenie.

Autopschoanaliza nie byłaby pełna, gdyby stary, osiemdziesięcioletni w czasie pisania tego listu-eseju Zygmunt Freud nie wrócił pamięcią do czasów swego dzieciństwa i młodości. Wspomina wtedy ubóstwo rodzinnego domu, atmosferę duszną i pełną zakazów, młodość o ograniczonych możliwościach i horyzontach.

Nie, nigdy nie wątpił w istnienie Akropolu, ale nie miał żadnej nadziei, że kiedykolwiek zobaczy go na własne oczy. I oto w dzień, gdy stało się to, miał ochotę powiedzieć do brata: „Czy pamiętasz nasze młode lata? Codziennie chodziliśmy tą samą drogą do gimnazjum, w niedzielę zaś do Prateru lub jechaliśmy do dobrze nam znanego zakątka gdzieś w okolicy miasta. A teraz oto jesteśmy w Atenach na szczycie Akropolu! Jak długą przebyliśmy drogę!”. „I jeśli można porównywać rzeczy małe z wielkimi – pisze dalej – czyż Napoleon I w dniu koronacji w Notre Dame nie zwrócił się do brata, mówiąc: «Co powiedziałby nasz ojciec, gdyby teraz mógł być tutaj?»”.

Jest to wyraz radosnej dumy, ale trwa ona zaledwie moment i prawie natychmiast zostaje zmacona przez świadomość przekroczenia tabu, zerwania zakazanego owocu, głębokie poczucie winy. Poczucie winy? Tak, odpowiada Freud.

Wobec kogo? Ojciec Freuda był mało zamożnym kupcem, niezbyt wykształconym, i Akropol niewiele dla niego znaczył. Natomiast synowie przerośli go. Tak bardzo wywyższyli się nad jego pospolitą egzystencję, „zdetronizowali” go i w tym właśnie zamachu na ojcowski ideał należy doszukiwać się owego poczucia winy, które odbiera radość, jaka powinna być udziałem obcujących z arcydziełem sztuki.

Nasuwają się tutaj słowa wielkiego krytyka Freuda: „Czyż kompleks ojca bez reszty przenikający poglądy szkoły freudowskiej dowodzi, że dokonała ona jakiegokolwiek godnego uwagi uwolnienia człowieka od fatalizmu «romansu rodzinnego»? Ten kompleks z całą jego fanatyczną sztywnością i przesadną drażliwością jest źle pojętą funkcją religijną...”.

W tym liście-rozprawce pisanym pod koniec życia bardziej chyba niż w innych pismach manifestuje się głęboki pesymizm autora. Nie jest to tylko pesymizm poznawczy, ale dotyczący samej natury człowieka, jego zasadniczej niezdolności do osiągnięcia szczęścia.

Staralem się możliwie wiernie streścić tok myśli twórcy psychologii głębi, zawarty w jego małej epistolarnej próbie wyjaśnienia pewnego szczególnego zjawiska psychicznego. A ponieważ próba ta jest świetnie i sugestywnie napisana, zacząłem się zastanawiać, czy nigdy nie przytrafiło mi się coś podobnego. Tak jak czytając podręczniki psychiatrii, odnajdujemy w sobie przez empatię różne opisane tam choroby.

Naprzód zadawałem sobie pytanie, jak to jest z tym moim poczuciem winy w obliczu arcydzieł. Odpowiedź nie jest łatwa; przyznanie się budzi potwory subiektywizmu, każe myśleć o dzieciństwie, życiowych niepowodzeniach czy drogich nieobecnych, naszych bliskich zmarłych, którym nie dane było dzielić z nami radości płynącej z przeżywania rzeczy pięknych.

No więc tak: stojąc na Akropolu przywoływałem dusze moich poległych kolegów, użalałem się nad ich losem, już nawet nie nad śmiercią okrutną, ale współczułem, że odebrana im została niewyczerpana wspaniałość świata. Sypałem ziarna maku na zapomniane groby.

Jeśli jednak nie popadłem w opisany przez Freuda sceptycyzm, zmańcenie wiary w realne istnienie tego, co widziałem, działo się to z paru istotnych powodów. Skoro zostałem wybrany – myślałem – i to bez szczególnych zasług, wybrany w grze ślepego losu, to muszę temu wyborowi nadać sens, odebrać mu jego przypadkowość i dowolność. Co to znaczy? To znaczy sprostać wyborowi i uczynić go wyborem moim. Wyobrazić sobie, że jestem delegatem czy posłem tych wszystkich, którym się nie udało. I jak przystało na delegata czy posła, zapomnieć o sobie, wysilić całą swoją wrażliwość i zdolność rozumienia, aby Akropol, katedry, Mona Liza powtórzyły się we mnie, na miarę oczywiście mego ograniczonego umysłu i serca. I żeby to, co z nich pojąłem, potrafił przekazać innym.

Fakt, że wobec arcydzieł czułem się zawsze niepewnie, uważałem za rzecz naturalną. Jest dobrym prawem arcydzieł, że burzą naszą zarozumiałą pewność i że kwestionują naszą ważność. Zabierały one część mojej rzeczywistości, nakazywały milczenie, zaprzestanie mysiej krzątania wokół spraw nieważnych i głupich. Nie pozwalały także, „ażebym – jak mówi św. Tomasz More – kłopotał się zbyt wiele wokół tego panoszącego się czegoś, które nazywa się «ja»...”. Jeśli godzi się nazywać to wszystko transakcją, była to transakcja najkorzystniejsza z możliwych. Za pokorę i uciszenie dawały mi w zamian „miód i światło”, jakiego sam w sobie nie potrafiłbym stworzyć.

Jednym z grzechów śmiertelnych kultury współczesnej jest to, że małodusznie unika ona frontalnej konfrontacji z wartościami najwyższymi. A także aroganckie przeświadczenie, że możemy obyć się bez wzorów (zarówno estetycznych, jak i moralnych), bo rzekomo nasza sytuacja w świecie jest wyjątkowa i nieporównywalna z niczym. Dlatego właśnie odrzucamy pomoc tradycji, brniemy w naszą samotność, grzebiemy w ciemnych zakamarkach opuszczonej duszyczki.

Istnieje błędny pogląd, że tradycja jest czymś podobnym do masy spadkowej i że dziedziczy się ją mechanicznie, bez wysiłku, dlatego ci, którzy są przeciw dziedziczeniu i niezasłużonym przywilejom, występują przeciw tradycji. A tymczasem w istocie każdy kontakt z przeszłością wymaga wysiłku, pracy, jest przy tym trudny i niewdzięczny, bo nasze małe „ja” skrzeczy i broni się przed nim.

Pragnąłem zawsze, żeby nie opuszczała mnie wiara, iż wielkie dzieła ducha są bardziej obiektywne od nas. I one będą nas sądzić. Ktoś słusznie powiedział, że to nie tylko my czytamy Homera, oglądamy freski Giotto, słuchamy Mozarta, ale Homer, Giotto i Mozart przypatrują się, przysłuchują nam i stwierdzają naszą próżność i głupotę. Biedni utopiści, debiutanci w historii, podpalacze muzeów, likwidatorzy przeszłości podobni są do owych szaleńców, którzy niszczą dzieła sztuki, ponieważ nie mogą wybaczyć ich spokoju, godności i chłodnego promieniowania.

Zbiór esejów „Labirynt nad morzem” nie doczekał się publikacji za życia autora.

Zbigniew Herbert

Dom

(ze zbioru esejów: Martwa natura z wędzidłem)

Z pewną, ale niewielką, przesadą można powiedzieć, że zanim zaczęła się podróż, istniała przedtem mapa, tak jak naprzód był niejasny i bezosobowy zarys poematu, który długo unosił się w powietrzu, zanim ktoś odważył się ściągnąć go na ziemię i nadać mu kształt zrozumiały dla ludzi. A więc mapy — partytury śpiewu syren, wyzwanie rzucone śmiałym — podsunęły Holendrom zuchwały plan żeglugi do Chin pasażem północnym — ciemnym, wąskim, lodowatym korytarzem, a nie powszechnie uczęszczaną drogą tropikalną pełną zabójczych korsarzy i równie zabójczych konkurentów.

Sprawa musiała być traktowana z całą powagą, skoro Stany Generalne wyznaczyły nagrodę w wysokości 25 tysięcy florenów dla tych, którym uda się zrealizować ten graniczący z szaleństwem zamiar. Dwu doświadczonych ludzi morza, kapitan Jacob van Heem-skerck i pilot Willem Barentsz, z załogą i dwoma okrętami wyruszają na wielki rekonesans. Jest maj 1597 roku. Zielona pręga lądu szybko ginie z oczu i po niespełna trzech tygodniach otacza żeglarzy niepojęty świat polarny. 5 czerwca któryś z majtków woła wniebogłosy, że zobaczył na widnokręgu stado olbrzymich białych łabędzi. Były to w istocie góry lodowe. Pomyłka marynarza świadczy nie tyle o jego poetyckiej wyobraźni, ile o nikłej znajomości polarnego piekła.

Po wielu dramatycznych epizodach, przeciwnościami aury i losu, zmaganiach z coraz to bardziej niezrozumiałym otoczeniem (dziwy narastają stopniowo, co umożliwia częściową adaptację) w niespełna cztery miesiące po opuszczeniu Holandii dalsza nawigacja staje się niemożliwa. Statki są uwięzione przez jesienne lody u wybrzeży Nowej Ziemi. Zapada decyzja, aby tam właśnie przenocować. Do tego potrzebny był dom.

Szczęśliwym trafem znaleziono na wyspie drzewo przyniesione przez prądy z syberyjskich lasów, twarde jak kamień, ale poradzono sobie z tym opornym materiałem. Na samym początku budowy umiera okrętowy cieśla, którego pochowano w rozpadlinie lodowej; zamrożona ziemia nie chciała przyjąć śmiertelnych szczątków. Czas naglił. Dnie były coraz krótsze, temperatura zatrważająco spadała. Pracujący przy budowie skarżyli się, że gwoździe wsadzone do ust, ciesielskim zwyczajem, przymarzają do warg tak, że trzeba je odrywać ze skórą. Wreszcie 3 listopada ostatnia deska zostaje przybita do dachu. Uradowani żeglarze wieńczą swój dom wiechą ze śniegu.

Jest więc dom — miniatura ojczyzny; schronienie przed mrozem i polarnymi niedźwiedziami, które urządzają istne polowanie na Holendrów. Nie ma prawie dnia, żeby nie spotykano się z nimi oko w oko. a wtedy w ruch idą flinty, muszkiety, halabardy i ogień, niewiele to jednak pomaga, upór i zaciekłość tych zwierząt są niemal ludzkie, pojawiają się nagle jak widma białe i krwiożercze, wślazą na dach, próbują wejść przez komin, węszą i sapią groźnie pod drzwiami domu.

Kronikarz tej wyprawy, który rzadko pozwala sobie na akcenty uczuciowe — poza nabożnymi westchnieniami do Stwórcy — w pewnym miejscu relacji porzuca nazwę niedźwiedź dla emocjonalnego określenia „bestia”, czym będzie się posługiwał do końca swego zapisu. W samym środku polarnej nocy niedźwiedzie obłężenie zostaje zwinięte i pojawiają się lisy polarne, dla których kronikarz ma czułe i ciepłe określenie „zwierzątka”, ponieważ są one niegroźne, posłusznie wślazą w zastawione pułapki, dostarczają mięsa (smakuje jak mięso królicze) i futer. Jeszcze raz okazało się, że mitologiczne braterstwo człowieka z czworonogami podszyte jest pewną dozą obłudy.

Na ziemi, która w planach Boga nie była przeznaczona dla człowieka, na okrutnej, olśniewająco białej i oślepiająco czarnej szachownicy losu — stał dom. Ogień palony na kominku dawał więcej dymu niż ciepła. W szparach zatkanych mchem grał lodowaty wiatr. Na pryzkach zawieszonych u ściany leżeli chorzy na skorbut i trawieni gorączką; śnieg zasypywał małe domostwo wraz z kominem. Noc polarna mąciła miary czasu i rzeczywistości. W końcu stycznia żeglarze ulegli zbiorowej halucynacji — tak jak wędrowcom pustyni mającą się oazy — ujrzeli nad horyzontem nierzeczywiste słońce. Ale żalobny mrok podbiegunowej nocy trwać miał jeszcze długo.

Myliłby się ten, kto by sądził, że zimowanie Holendrów było czymś w rodzaju biernego oporu. Przeciwnie, energia, jaką zdołali z siebie wykrzesać, budzi podziw. Krzatali się jak dobrzy fryzyscy chłopcy wokół swoich jałowych włości. Dźwigali drzewo na opał, niańczyli chorych towarzyszy, naprawiali dom, niektórzy notowali osobliwości otaczającego świata, polowali, dokonywali zawyłych sztuk kulinarnych, czytali na głos Biblię, włązili po czterech do beczki, polewani gorącą wodą przez balwierza okrętowego, który także strzygł im włosy rosnące zadziwiająco szybko, jakby ciało pragnęło pokryć się sierścią, szyli ubrania i buty ze skór upolowanych zwierząt, śpiewali pieśni nabożne i pieśni jurne, naprawiali wiecznie zamarzający zegar, który pocieszał, że czas nie jest otchłanią, czarną maską nicości, ale można go dzielić na ludzkie wczoraj i ludzkie jutro, na dzień bez światła i noc bez blasku, na sekundy, godziny, tygodnie, na zwątpienie, które mija, i nadzieję, która się rodzi.

Ten, kto walczy z żywiołem, uświadamia sobie, że w śmiertelnych zapasach z przeciwnikiem stokroć silniejszym szansę mają tylko tacy, którzy potrafią skupić całą uwagę, wolę, przebiegłość — na odpieraniu ciosów. Wymaga to swoistej redukcji całej osobowości, degradacji do zwierzęcych odruchów dyktowanych instynktem. Trzeba zapomnieć o tym, kim się było, liczy się tylko ta właśnie chwila gromu, ognia, burzy, nawałnicy i trzęsienia ziemi. Wszelka ludzka nadwyżka, wszelka zbyteczna myśl, uczucie, gest mogą sprowadzić katastrofę.

Garstka holenderskich żeglarzy wystawionych na próbę najwyższą co najmniej dwa razy wykroczyła przeciwko tym żelaznym regułom. Dodała do praw walki z bezosobową grozą akcent ludzki. I może nie była to ryzykowna ekstrawagancja czy sentymentalna piosenka o przywiązaniu, śpiewana pośród lodowatych pustkowi, ale istotny element obrony. Oba wydarzenia związane są z domem. Bo był to przecież dom.

Otóż 6 stycznia roku 1598, w dzień Trzech Króli, rozbitkowie nie zważając na to, co się dzieje wokoło, postanowili uczcić święto jak w ojczyźnie. Nawet trzeźwy kapitan Heemskerck uległ szaleństwu i kazał wydzielić załodze z topniejących zapasów sporą porcję wina, dwa funty mąki, z której upieczono cwibak i faworki. Grzane wino z korzeniami tak bardzo rozochociło załogę, że puszczono się w płasy i odtąńczono po wiele razy ulubionego partacza, taniec z kapeluszami i gonionego. Urządzono konkurs na Cesarza Nowej Ziemi, a także wybrano Migdałowego Króla. Został nim chory, bardzo młody marynarz Jacob Schiedamm, który zmarł wkrótce potem, ale owego pamiętnego wieczoru uśmiechnął się po raz ostatni, do druhów raczej niż do świata. Kronikarz mówi, że wszystko było tak jak u naszych drogich bliskich w ojczyźnie, którą jedyny raz przywołuje solennym zaklęciem — *patria*. Nie wiadomo, kto wpadł na ten pomysł — być może był on dziełem wyobraźni zbiorowej — ale kiedy wreszcie stanął dom (prawdę mówiąc była to psia buda), postanowiono nadać mu styl. Nad niskimi drzwiami wymalowano czarną farbą trójkątny portal, a także dwa okna umieszczone symetrycznie na frontowej ścianie (dom był bez okien). Do płaskiego dachu przybito schodkową attykę z desek okrętowych, którą wkrótce zniosła nawałnica śniegowa, najwyraźniej wroga tym estetycznym subtelnościom.

Kiedy 13 czerwca roku 1598 na dwóch mizernych łodziach ruszono w drogę powrotną, nikt nie miał odwagi odwrócić głowy i spojrzeć na opuszczony dom, na ten monument wierności — z trójkątnym portalem i dwoma fałszywymi oknami, w których czał się smolisty mrok.

Zbigniew Herbert
Pan Cogito o cnocie

1

Nic dziwnego
że nie jest oblubienicą
prawdziwych mężczyzn

generałów
atletów władzy
despotów

przez wieki idzie za nimi
ta płaczliwa stara panna
w okropnym kapeluszu Armii Zbawienia

wyciąga z lamusa
portret Sokratesa
krzyżyk ulepiony z chleba
stare słowa

- a wokół huczy wspaniałe życie
rumiane jak rzeźnia o poranku
prawie ją można pochować
w srebrnej szkatułce
niewinnych pamiątek

jest coraz mniejsza
jak głos w gardle
jak brzęczenie w uchu

2

mój Boże
żeby ona była trochę młodsza
trochę ładniejsza

szła z duchem czasu
kołysała się w biodrach
w takt modnej muzyki

może wówczas pokochaliby ją
prawdziwi mężczyźni
generałowie atleci władzy despoci

żeby zadbała o siebie
wyglądała po ludzku
jak Liz Taylor
albo Bogini Zwycięstwa

albo od niej wionie
zapach naftaliny
sznuruje usta
powtarza wielkie – Nie

nieznośna w swoim uporze
śmieszna jak strach na wróble
jak sen anarchisty
jak żywoty świętych

Zbigniew Herbert
Przemiany Liwiusza

Jak rozumieli Liwiusza mój dziadek mój pradziadek
bo na pewno czytali go w klasycznym gimnazjum
o mało stosownej porze
gdy w oknie staje kasztan – żarliwe kandelabry kwiatów -
a wszystkie myśli dziadka i pradziadka biegły zdyszane do Mizzi
która śpiewa w ogródku pokazuje dekolt oraz boskie nogi do
samych kolan
albo Gabi z wiedeńskiej opery w lokach jak cherubin
Gabi z zadartym noskiem i Mozartem w gardle
czy w końcu do poczciwej Józki ucieczki strapionych
bez urody talentu i większych wymagań
a więc czytali Liwiusza – poro kwiatostanów -
w zapachu kredy nudy nafty którą zmywano podłogę
pod portretem cesarza
bo był wówczas cesarz
a imperium jak wszystkie imperia
zdawało się wieczne

Czytając dzieje Miasta ulegali złudzeniom
że są Rzymianami lub potomkami Rzymian
ci synowie podbitych sami ujarzmieni
zapewne miał w tym udział łacinnik
w randze radcy dworu
kolekcja cnót antycznych pod wytartym tużurkiem
więc za Liwiuszem wpajał w uczniów pogardę dla motłochu
bunt ludu – res tam foeda – budził w nich odrazę
natomiast wszystkie podboje wydawały się słuszne
znaczyły po prostu zwycięstwo tego co lepsze silniejsze
dlatego bolała ich klęska nad Jeziorem Trazymeńskim
dumą napawały przewagi Scypiona
śmierć Hannibala przyjęli z niekłamaną ulgą
łatwo zbyt łatwo dali się prowadzić
przez szanse zdań ubocznych
zawiłe konstrukcje którymi rządzi imiesłów
wezbrane rzeki wymowy
pułapki składni
- do bitwy
o nie swoją sprawę

Dopiero mój ojciec i ja za nim
czytaliśmy Liwiusza przeciw Liwiuszowi
pilnie badając to co jest pod freskiem
dlatego nie budził w nas echa teatralny gest Scewoli
krzyk centurionów tryumfalne pochody
a skłonni byliśmy wzruszać się klęską
Samnitów Galów czy Etrusków
liczyliśmy mnogie imiona ludów startych przez Rzymian na proch

pochowanych bez chwały które dla Liwiusza
niegodne były nawet zmarszczki stylu
owych Hirpinów Apulów Lukanów Uzentyńczyków
a także mieszkańców Tarentu Metapontu Lokri

Mój ojciec wiedział dobrze i ja także wiem
że któregoś dnia na dalekich krańcach
bez znaków niebieskich
w Panonii Sarajewie czy też Trebizondzie
w mieście nad zimnym morzem
lub w dolinie Panszir
wybuchnie lokalny pożar

i runie imperium

Zbigniew Herbert **Cesarz**

Był sobie raz cesarz. Miał żółte oczy i drapieżną szczękę. Mieszkał
w pałacu pełnym marmurów i policjantów. Sam.
Budził się w nocy i krzyczał. Nikt go nie kochał. Najbardziej lubił
polowania i terror. Ale fotografował się z dziećmi wśród kwiatów.
Kiedy umarł, nikt nie śmiał zdjąć jego portretów. Zobaczcie, może
jest jeszcze u was w domu jego maska.

Zbigniew Herbert **Krasnoludki**

Krasnoludki rosną w lesie. Mają specyficzny zapach i
białe brody. Występują pojedynczo. Gdyby się dało zebrać
ich garść, ususzyć i powiesić nad drzwiami - może mielibyśmy spokój.